odgłosy

Numer 4
152
pojubileuszowy
warto
przeczytać

TYGODNIK ŁÓDZKI
Rok IV. Łódź, 29-I. 1961 r.
cena
1 zł

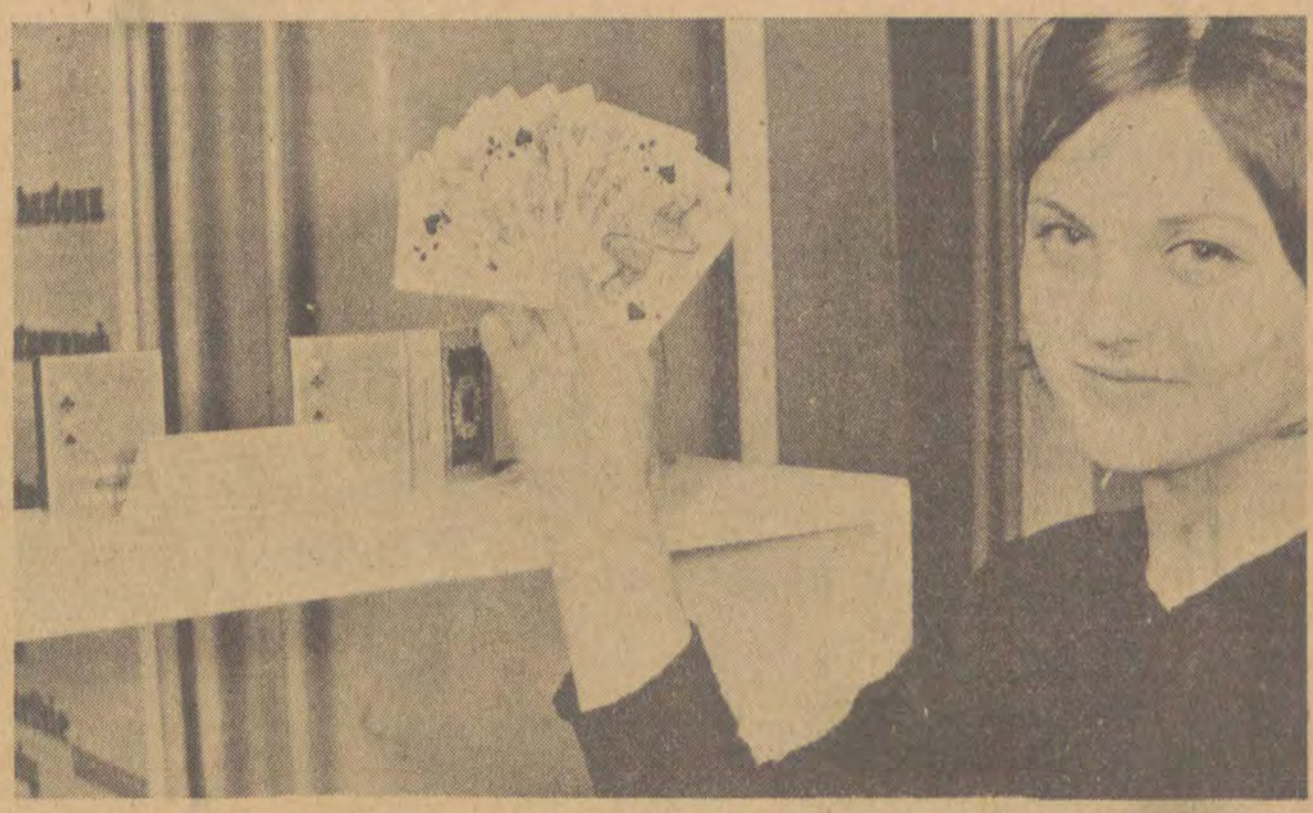

Ta miła pani zapowiada wszystkie ciekawe pozycje w numerze, a szczególnie „Karnawał łódzki" na str. 3, który, jak gra w karty, zawsze stanowi pewną niewiadomą. ■ *Fot. W. Rozmysłowicz*

KONFERANSJER:

Panie, panowie, już niezwłocznie
łódzki karnawał się rozpocznie
i wnet ukażą się postacie,
które po słowach ich poznacie.

Oto nadchodzi, już jest tuż,
zbliża się, rośnie... Któż to, któż?
Ten wąs, ten krok, ten wzrok, ten gest -
skądś znane mi... lecz któż to jest?

REŻYSER FORD:

(śpiewa na melodię „Piosenki żołnierza")

Kamerę chwyć, już surma gra, więc idź,
zaś boju niezwyczajny jest, to nic,
dowódca cię tu strzeże, wielki Ford,
nie lękaj się zakutych w plastyk hord.

Już czas, by nakręcić film
na Festiwal, na Festiwal,
to dla reżysera jest
z pięknych najpiękniejsza chwil.

A tam już zdobędę pier-
-wszą nagrodę, — wszą nagrodę,
aż się zgłosi do mnie w ter-
w ter-min do mnie Rene-Clair.

(na melodię „Złoty pierścionek")

Lwa mi Złotego, Złotego Lwa mi
nie dali,
bo się na dzielle, się na Jagielle
nie znali.

I tylko w Łodzi, krajowym tym Hollywoodzie,
dobrzy znaleźli, znaleźli dobrzy
się ludzie...

KONFERANSJER:

Z kolei wbiega
w pończochach czarnych
dziewczyna, którą
znamy z kawiarni.

(śpiewa na melodię „Na Francuskiej")

Na Moniuszki,
Na Moniuszki,
jest niewielka kawiarenka,
gdzie ja płocha jak sarenka
czekam, by on odkrył mnie.

Na Moniuszki
zgrabne nóżki,
przed którymi winien klękać
pokazuję, nie żałuję, —
ale on nie patrzy, nie.

W kawiarence
mówi: „Kręcę
nowe dzieło kadr po kadrze..."
Nie wie, że ja kadrą także
że ja gwiazdą zostać chcę.

Na Moniuszki
zgrabne nóżki,
przed którymi winien klękać,
pokazuję, nie żałuję —
ale on nie patrzy, nie.

KONFERANSJER:

Prosto z wojaży, wprost z samolotu
przybywa do nas dyrektor ŁOT-u.
(Tu wyjaśniamy wszem bezpartyjnym:
ŁOT to Ośrodek Telewizyjny).

DYREKTOR ORŁOWSKI:

(śpiewa na melodię: „Warszawo, ty moja, Warszawo")

Warszawo, ty moja, Warszawo,
doprawdy, ja nie mam już słów,
jak ciężko żyć pod twą buławą,
mój każdy dzień kończy się łzawo...
Więc wybacz mi żem rozżalony,
bo każdy ty śledzisz nasz ruch —
ty nas ograniczasz, a potem w nas: buch!
że program nasz ograniczony.

Dalszy ciąg na str. 11

JACEK LEBEN

PO CO ta MOWA?

Mowa służy do wyrażania swych myśli — tak przynajmniej można to sformułować. Czy zawsze? Niektórym dyplomatom służy po to, by móc prawdziwe myśli ukrywać. Warszawski ludek mądry zmyślny ukuł świetną replikę na fałsz i obłudę: „Po co ta mowa"?

W przemówieniu wygłoszonym w dniu 10 stycznia br. na posiedzeniu frakcji parlamentarnej CDU kanclerz Adenaer powiedział: *„Uważam, że przypuszczalnie możliwe będzie zbliżenie z Polską. Uważałbym to za dobrą sprawę".*

Niedługo po przemówieniu kanclerza Adenauera boński minister spraw zagranicznych von Brentano skomentował to oświadczenie, sprowadzając go z mglistych wyżyn do bońskiej rzeczywistości politycznej. Oświadczył on mianowicie, że kanclerz wyraził jedynie swoje permanentne pragnienia, ale że nie oznacza ono gotowości Bonn do nawiązania stosunków dyplomatycznych. Kropkę nad „i" postawił

(Dalszy ciąg na str. 4)

MINĄŁ TYDZIEŃ

„Krople dni powszednich"

Jesteśmy już po jubileuszu, małym jubileuszu, ku radości redakcyjnych abstynentów bez kropli alkoholu, tak się składa, że sto pięćdziesiąty pierwszy numer „Odgłosów" ukazał się tuż po Nowym Roku i ta zbieżność zakłada swoistą i wcale niełatwą dialektykę dla felietonisty. Ubiegły tydzień zaznaczył się bowiem w naszym mieście różnymi akcentami, dobrymi i niedobrymi, białymi i czarnymi. Z pozytywów na czoło trzeba wysunąć „Dzień Budowlanych", nie tyle ów dzień, który rozmaicie święto wano, rozmaicie uczczono, a towarzyszący mu nastrój.

Proszę zważyć — osiągnięcia budowlanych nie są małe — gazety łódzkie doniosły o przekazaniu trzystu izb mieszkalnych dla pracowników budownictwa, o oddaniu do użytku Zakładów Elementów Budowlanych przy ul. Wieniawskiego, o nowej zajezdni autobusowej na Chojnach, nowych obiektach mieszkalnych, wszystko to są inwestycje przygotowane specjalnie na ten dzień, ale nie jedyne, jedne z wielu, to musi cieszyć. Pisano również o dyscyplinie pracy, oszczędnościach, słyszycie, o oszczędnościach, o podniesieniu wydajności pracy.

To bardzo dobrze, powiemy, cieszymy się z tych osiągnięć, podziwiamy je, jaki może być komentarz do tych wydarzeń, nie ulega wątpliwości, że budujący, każdy nowy budynek mieszkalny jest nie tylko ilustracją, ale również komentarzem. Można w tym przypadku mówić o budowaniu w sensie dosłownym i w przenośni, to nie są sprawy, które jak powiada Dąbrowska, „mijają znacząc bieg rzeczy ludzkich niedostrzegalnymi bruzdami", owszem, bruzdy się rodzą, wyrażają nie tylko troski i niepokoje dni powszednich, ale mówią o jaśniejszych chwilach także. Dzień Budowlanych na początku roku to również symbol, znakomity akcent dramatyczny, wyznaczający tempo akcji na cały rok

Jedni budują, drudzy... rujnują. To nie jest „prawo życia", a bezprawie, jako takim, niestety, z konieczności musimy się zająć. Budowlani oddają do użytku nowe domy, zaś niektórzy „dyrektorzy" rozkradają. W Pabianicach zakończył się proces doraźny przeciwko kierownikom sklepów Miejskiego Handlu Detalicznego. Dwóch panów, głównych oskarżonych, przywłaszczyło sobie w sumie blisko pół miliona złotych. Prokurator zażądał piętnastu lat więzienia, zwolennicy łatwych łupów otrzymali po dwanaście i dziesięć lat, przepadek mienia, wysokie grzywny, mniejsze ryby po cztery lata. Nieszczególne zestawienie tematów: budowlani i złodzieje. Czy to ma stanowić o dialektyce naszych dni? Z pewnością nie, rak również nie określa charakteru człowieka, jakkolwiek wpędza go do grobu. Nie zwalczono dotychczas raka, miejmy nadzieję, że to niebawem nastąpi. Na szczęście, znajdujemy coraz skuteczniejsze lekarstwa na

(Dokończenie na str. 2)

„Obyśmy wspólnie odetchnęli" (II)

Głos w dyskusji

— Problemami wychowawczymi naszej młodzieży zajmujemy się bardzo szeroko, bo młodzież to nasza przyszłość, a tę chcielibyśmy widzieć w jak najlepszej oprawie.

Ba, ale jak te sprawy rozwiązać? Od czego zacząć, gdzie znajduje się klucz do rozwiązania skomplikowanych problemów wychowawczych, oto pytanie, któremu poświęcono wiele godzin pracy na konferencjach, zebraniach, dyskusjach, wypisano wiele ryz papieru, zużyto wiele farby drukarskiej i litrów atramentu. — Poświęcono wiele uwagi szkole, bo wiadomo, że szkoła to newralgiczny punkt wychowania, to stacja przekaźnikowa, rozdzielcza, to dyspozytornia z której wychodzić mają przygotowane do życia roczniki.

Stwierdziliśmy, że w szkole nie wszystko jest dobrze, — tu trzeba wiele zmienić, poprawić, by nauczanie i wychowanie wiązać z życiem, by wreszcie wyprowadzić szkołę z dziewiętnastowiecznej koleiny jej metod pracy.

Dziś dla odmiany zatrzymamy się przed domem rodzicielskim, ale wchodzimy w jego podwoje od strony kuchni, od strony codziennego życia, w którego atmosferze wzrasta młody człowiek, przyszłość narodu.

Red. Jeżdżyński i v-kurator Przeździecki jak nieproszeni goście zaglądali do domów, pokazali Hankę, Kaśkę, Alę, Andrzeja w garniturze roboczym, jak siędzą przy zatłoczonym stole i odrabiają lekcje. To jeszcze dobre warunki, bo niektóre dzieci pracują na parapecie okiennym, a nawet na korytarzu, śpią po 3-4 osoby na jednym łóżku, 5-6 osób mieszka w jednej izbie. Zobaczyli bardzo smutne twarze dziecięce, bo ojciec pije, maltretuje matkę, a dzieciom każe klęczeć i śmiać się, chociaż ból ściska im serca. Nowoczesne dantejskie piekło w domu, w którym alkohol jest bogiem.

Te przykłady domowego „wychowania" są pożądane, bo coś podejmować, to najlepiej zaczynać od uczuciowego oddziaływania na ogół. A ten ogół odhumanizowany, wyługowany z tych szlachetnych ludzkich pierwiastków. Szczególnie u dzisiejszego młodego pokolenia.

Ale czy te wzruszające obrazy, które można by rzucać setkami, tysiącami, przemówią do sprawców tragedii rodzinnych, pomogą rozwiązać skomplikowane zagadnienie atmosfery wychowawczej domu? Może w jednym, drugim, a nawet setnym przypadku wywołają refleks, chwilowe zainteresowanie, ale czy zmieni się sytuacja? Czy młodzież wyzwoli się z oparów alkoholizmu, który wydostaje się drzwiami, oknami, kominem z takiego domu i podobnego jemu otoczenia.

Chyba nie, na to nie liczymy. Takimi obrazami nie uzdrowimy chorej rodziny, one służyć nam będą jako tło akcji, którą musimy podjąć pospołu wszyscy, możliwymi i dostępnymi środkami. — Nie można w tym przypadku wysuwać kogoś na plan pierwszy, by potem zepchnąć na jego barki cały ciężar pracy, a obawiam się, że jak zwykle skrupi się na nauczycielu, na szkole. Bo szkoła to taki worek, gdzie można wszystko wepchnąć.

Problem poruszony na łamach „Odgłosów" ma na celu stwierdzenie, że alkohol nadużywany w domu, w którym wzrastają dzieci, to poważny, groźny hamulec w wychowaniu, który moralnie, psychicznie i fizycznie niszczy młodzież. To wszystko prawda. Lekarze szkolni mogliby na ten temat wiele powiedzieć, wychowawca — nauczyciel mógłby też od siebie sporo materiału dorzucić.

My, nauczyciele, stwierdzamy, że alkohol niszczy naszą pracę, pracę ucznia, wysiłek społeczny w kierunku podniesienia wyników nauki i intelektualnego rowoju naszych wychowanków. Pobieżna tylko obserwacja wykazała, że 50% — 60% drugoroczności to „dzieło" alkoholu, którym uczeń sam jest zarażony, względnie przebywa w domu pijackim. Atmosfera takiego rodzicielskiego domu stwarza młodzieży kolosalne trudności w nauce, których nie mogą przezwyciężyć mimo najlepszych chęci.

A drugoroczność kosztuje nas wszystkich i to drogo. Srednio na jednego ucznia w szkole podstawowej, licealnej i zawodowej łożymy rocznie 2.546 zł. Repetenci obciążają nasze miasto kwotą 18 mil. zł rocznie, zaś alkohol partycypuje w tym haraczu kwotę około 9 mil zł. Bagatela!

STANISŁAW SIEGEL

A DOM?

To są nasze straty materialne, a jakie są straty moralne? Tych nie da się przeliczyć na złotówki, one „wyjdą bokiem" dopiero wówczas, gdy młode pokolenie wychowane w takiej atmosferze wejdzie do samodzielnego życia. To przyszłość pokaże. Ale czy będzie ona różowa?

Szkoła — nauczyciel mocno odczuwa wpływ domu pijackiego znajdującego się po sąsiedzku, bo z jego dziećmi ma się do czynienia na co dzień. Gehennę tych dzieci znamy aż nazbyt dobrze, choć śmiem twierdzić, że tylko w małym procencie.

Niestety, tak jest, że problem alkoholizmu wśród młodzieży i w jej domach rodzicielskich nie jest dostrzegany, tak jak by należało sobie tego życzyć. Nie dziwię się temu, bo rzeczywiście nauczycielstwo nie zna skutku alkoholu. Przepraszam, zna je od strony teoretyczno — naukowej, ale jak wygląda życie alkoholika i jego rodziny, z tego nie zdajemy sobie dobrze sprawy.

Żeby nie być gołosłownym, służę dowodem. Zorganizowany w grudniu 1960 r. przez Miejski Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy wespół z kuratorium kurs dla nauczycieli prelegentów zaszokował formalnie słuchaczy. W izbie wytrzeźwień w Kochanówce zetknęli się oko w oko z klęską alkoholizmu, tu zobaczyli świat nie znany i co dziwniejsze, nie odległy, lecz bliski, o miedzę, o sąsiedzkie podwórko, o drzwi wspólnej klatki schodowej. I dziwić się należy, że dotychczas żyło się w takiej izolacji jak cieplarniany kwiat hodowany pod kluczem. A przecież nauczyciel powinien znać życie od każdej strony, boć on przecież do życia przygotowuje młode pokolenie.

Alkohol trawi trzewia wielkiej Łodzi, która pompuje w swój żołądek rocznie przeszło 9 mil. l wódki, wina i miodu pitnego nie licząc ok. 10 mil. l piwa i apertifów o zawartości do 20% alkoholu bardzo dostępnych dla młodzieży.

Trzeba mieć końskie zdrowie, by wlać w gardło każdemu mieszkańcowi Łodzi (łącznie z niemowlętami) 13 l. alkoholu rocznie pod różną postacią i przy różnych okazjach. A jeśli odliczyć młodzież do lat 18,, to proporcjonalnie urośnie pogłowie alkoholowe u starszych do 17 litrów rocznie.

Te liczby powodują wielką, bolesną i tragiczną wymowę, bo w tej ilości konsumowanego alkoholu partycypuje nasza młodzież pośrednio lub bezpośrednio. Pośrednio przez wpływ domu, otoczenia, na rozwój fizyczny i moralny, a bezpośrednio, w sposób nam dobrze znany.

Nawyk picia zakorzenił się w naszym społeczeństwie od wieków, szczególnie od momentu sprowadzenia kartofli do Europy. Nawyk ten jest uświęcony tradycją wszystkich dni naszego poczciwego żywota. Człowiek przychodzi na świat podlany alkoholem i schodzi z niego pokropiony łzami zmieszanymi z wódką. Alkohol to „promień wodzący", jak by rzekł matematyk, za nos każdego człowieka, dopóki — wykorzystując jego słabość — nie zrobi z niego pijaka.

Co robić, od czego zacząć, jak zwalczyć ujemne skutki alkoholizmu, który rujnuje, zaprzepaszcza naszą młodzież, powoduje, że dzieci nocują na klatkach schodowych, budzą się nerwowo w nocy pod wpływem awantur ojcowych, bite są po twarzy? Zofia jeszcze w grudniu chodziła bez pończoch, inne dziecko nie ma fartuszka, mundurka, bo pieniądze poszły na wódkę.

Rodziców naszych dzieci, pijących nałogowo alkohol, nie przerobimy w aniołów, chociaż nad nimi pracują poradnie przeciwalkoholowe, lecznictwo odwykowe zamknięte czy otwarte, wreszcie Komisja Społeczno-Lekarska.

Widziałem pracę tych społeczniczek we wspomnianej Komisji, w której 6 kobiet z przewodniczącą p. Marzyńską brało się za bary z ludzkim niewolnictwem, z dziecięcą tragedią w pijackiej rodzinie. Może one pomogą, może rozedrą niewidzialną zasłonę jaka przed stołem komisji dzieliła matkę z dzieckiem od męża, ojca pijaka.

A my nauczyciele winniśmy zająć się serdecznie bliżej dzieckiem, które mamy wychować. Na środowisko, na otoczenie nie można wiele liczyć, bo jest ono w dużej mierze bierne, dziwnie obojętne, a nawet zachęcające do złego. Od kogo wiem, że jest tak istotnie, właśnie od młodzieży.

Łódzkie podwórka dostarczają sporo materiału. Na nich dorośli raczą się alkoholem przy akompaniamencie ordynarnych słów. Dzieci na to patrzą, uczą się „łaciny" i powtarzają wyrazy, nie znając ich znaczenia, ku uciesze zebranych. A gdy skończy się pijacka libacja, młode audytorium wypija pozostawione we flaszkach resztki, naśladując w pozie, w zachowaniu się i słowach swoich poprzedników. Z tych popisów nietletnich cieszy się starszyzna podwórkowa, zachęca do niewinnej zda się libacji, zadowolona, że tradycja w rodzinie nie zginie. — Jaki ojciec taki syn.

Z takich podwórek mamy dziesiątki, setki, a może nawet i tysiące, one sieją zarazę, spustoszenie wśród młodzieży. Trzeba więc młodzież ratować, uodpornić na złe wpływy, jakie zioną z domu pijackiego, z podworka, z bliższego i dalszego otoczenia.

I znowu pytanie, jak to zrobić, od czego zacząć? Stara się społeczeństwo, rodzice naszych dzieci oddaje w opiekę powołanej do tego instytucji, a dzieci i młodzież szkolną, pod wpływ wychowawczy nauczycieli.

Nauczycielstwo musi skoncentrować swój wysiłek wychowawczy przede wszystkim na tej młodzieży, która jeszcze nie zaraziła się bakcylem alkoholu, aby wpoić jej zdrowe zasady moralne, zrozumienie szkodliwości alkoholu pod każdą postacią, aby uodpornić ją na wszelkie pokusy. Ta młodzież, gdy opuści szkołę, gdy wejdzie w życie, jako ludzie dorośli, będzie choć w części nosicielem zdrowych nawyków, a przez to samo stanie się fundamentem nowej społeczności wolnej od zgubnych wpływów alkoholu.

Dzieci i młodzież, która zetknęła się już z wirusem wódczanym obojętnie jaką drogą przez dom czy otoczenie, musimy mimo wszystko leczyć właśnie w szkole, bo to jeszcze nie stracona pozycja — jak niektórzy sądzą. A zatem odwracać ich uwagę od codziennych pokus, kierować zainteresowania w innym kierunku, na drogę odpowiednią wiekowi. Może wszystkich nie da się uratować, ale bez wątpienia wielu przywrócimy zdrowie, psychiczne i fizyczne.

W tych konkretnych przypadkach wychowawca winien dobrze poznać swoich wychowanków, aby orientować się, który potrzebuje ratunku — pomocy.

Młodzież nasza jest uspołeczniona, lubi wyżywać się w różnych formach działania, trzeba tylko ich zamiłowania rozszyfrować i w nich eksploatować nadmiar sił młodzieńczych.

Jakimi metodami ma działać szkoła, to zostawmy jej inwencji, zrodzonej na podłożu zapotrzebowania środowiska oraz serdecznego, uczciwego stosunku do zagadnienia.

Ale uważam, że główny akcent w pracy szkoły należy położyć na intelektualny rozwój młodego człowieka, na dohumanizowanie młodzieży, aby przez nią oddziaływać na środowisko. A możliwości szkoły w tym kierunku są bardzo duże. Jestem głęboko przekonany, że młodzież odczuwa może podświadomie braki w tym kierunku. Trzeba jej zatem pomóc. A to już sprawa szkoły i nauczyciela.

CAŁE ŻYCIE CESARZOWEJ

Notatka, którą przepisuję niżej, pochodzi z lat poprzedzających pierwszą wojnę światową, a wydrukowana była w numerze 3545 pisma „L'Illustration". Przedrukowana została wszakże (w rubryce „Świat przed pół wiekiem") przez tygodnik „Świat", i stamtąd ją wyjmuję:

„Cesarzowa Eugenia, 84-letnia wdowa po Napoleonie III, przybyła, jak co roku do Mentony, by spędzić zimę na Lazurowym Wybrzeżu. Zdjęcie powyższe — bo notatka opatrzona jest zdjęciem — *wykonane zostało na dworcu w Mentonie, skąd cesarzowa udała się do swej rezydencji w willi Cyrnos na przylądku Martin".*

Tyle notatka, „Swiat" podaje jeszcze, że *„cesarzowa Eugenia dożyła lat 95 i zmarła w roku 1920"*, i to już wszystko. Warto przecież przez chwilę zamyślić się nad pięknym życiem cesarzowej Eugenii, ta dzielna kobieta przeżyła zapewne niejedno, miała 6 lat, gdy w Paryżu wybuchła Rewolucja Lipcowa, 23 — gdy toczyły się walki Wiosny Ludów, a 46 — kiedy w Paryżu rządzili komunardzi. Rok 1905 spotkała jako 80-letnia staruszka, w roku 1917 miała lat 92. Przeżyła jeszcze kilka innych rewolucji i kilkanaście mniejszych i większych wojen, to wszystko, bo o jej życiu osobistym nie potrafię nic powiedzieć.

Los władców tego świata nie był może nigdy godny pozazdroszczenia, odchodzili oni zwykle dość wcześnie, ginąc, jak pisze poeta, od jadu żmiji lub ziarna cykuty. W ostatnich stuleciach coś się jednak zmieniło, świat się, powiedzmy, ucywilizował, królowie, oczywiście, nadal przychodzą i odchodzą, ale odchodzący — a cesarzowa Eugenia nie jest tu przykładem jedynym — cieszą się zazwyczaj życiem jeszcze przez długie lata. Przeżyli co prawda kilka wojen i rewolucji, stan ich nerwów jest przecież nadal wyborny, i nie grozi im ani zawał serca, ani wrzód żołądka, ani śmierć z przyczyn nie znanych. Czego nie da się powiedzieć o ich poddanych.

TELEWIZJA 1961

Posiadaczom telewizorów, oraz wszystkim tym, którzy zamierzają telewizor w roku bieżącym kupić, polecam wydrukowany w ostatnim numerze „Polityki" artykuł Lecha Pijanowskiego, prezentujący repertuar Teatru Telewizji w roku 1961. Pijanowski, podając pozycje, które ujrzymy na małym ekranie w bieżącym roku (zobaczymy więc, między innymi, „Noc tysiączną drugą" Norwida, „Na dnie" Gorkiego, „Homera i Orchideę" Gaycego, „Kaprysy Marianny" Musseta, „Starego człowieka i morze" Hemingway'a, itd., itd.) przedstawia jednocześnie warte uwagi novum Teatru Telewizji.

„Nowością będzie cykl 40—60-minutowych widowisk, który można by określić jako prezentację najpiękniejszych scen z wybitnych dramatów. W tym cyklu pojawią się fragmenty „Kordiana" Słowackiego, „Zemsty" Fredry i „Moralności p. Dulskiej" Zapolskiej, tutaj zobaczymy wyjątki z „Borysa Godunowa" Puszkina, „Króla Lira" Szekspira, „Fausta" Goethego i wiele innych. Programy te pojawiać się będą na ekranach w środy, przynajmniej trzy razy miesięcznie".

Propozycja jest na pewno interesująca, choć Pijanowski słusznie chyba pisze że *„ta cenna inicjatywa nie wystarcza — zawiera ona w sobie jakiś element odświętności, słuszną chęć prezentacji przede wszystkim arcydzieł, choć niestety, tylko we fragmentach, chodzi zaś o to, by na małym ekranie znalazło się miejsce na użytkową scenę, na wystawianie w całości sztuk teatralnych powszechnie dostępnych, w jasnych i prostych inscenizacjach".*

Mimo, że rzecz nie jest łatwa do zrealizowania — bo brak na razie i możliwości technicznych i dobrych tekstów współczesnych (a trudno przypuszczać, by planowany — już drugi! — konkurs na widowisko telewizyjne rozwiązał tę kwestię) — racje Pijanowskiego na pewno godne są rozważenia. Przede wszystkim jednak warto by może przedyskutować owo kryterium powszechnej dostępności, sprawa jest bowiem dość niejasna, i nikt nie wie na pewno, co jest a co nie jest dostępne. Zdaniem Erazma „Stary człowiek i morze" będzie dostępny powszechnie, natomiast „Wesele" dostępne powszechnie nie będzie. Zastanawiajmy się więc i dyskutujmy, póki czas, bo, ostatecznie, nie samym tylko Wyspiańskim i „Kobrą" człowiek żyje.

POZYCJA TYGODNIA

Nie nakłaniałem dotychczas moich Czytelników do lektury poezji, utrzymuję bowiem, że poezja, która nie zaleca się sama i wymaga reklamy, może obyć się świetnie bez czytelników. Ten wiersz, który chciałbym polecić tym razem, jest wszakże wierszem wyjątkowym, i godzi się przyznać mu miejsce w rubryce, prezentującej najlepszy lub najciekawszy tekst, wydrukowany w periodykach z ubiegłego tygodnia. Autorem poematu, opublikowanego w przekładzie Władysława Broniewskiego w ostatnim numerze „Nowej Kultury" jest bowiem — nazwisko nie wymaga komentarzy — Patrice Lumumba.

ERAZM

MINĄŁ TYDZIEŃ

„Krople dni powszednich"

(Dokończenie ze str. 1)

chorobę społeczną — złodziejstwo.

„Prawo i życie" od dłuższego czasu zastanawia się nad polityką represyjną w stosunku do złodziei, to nie jest marginesowy problem, pismo słusznie apeluje o podjęcie dyskusji w prasie codziennej i prawniczej, która niechętnie mówi na ten temat. Społeczeństwo w zasadzie potępia zamachy na mienie społeczne, pisze redakcja, „oficjalny, deklaratywny stosunek do problemu jest jednoznaczny i nie budzi wątpliwości", sytuacja jednak zmienia się często, „gdy trzeba zająć stanowisko wobec konkretnego przypadku przestępstwa". Spotykamy się wówczas nawet z próbami obrony winowajców — znane są powszechnie te przysłowiowe już „opinie" i „charakterystyki", pisze J. Smoleński, w świetle których złodziej jest uczciwy a łapownik ofiarny, „charakterystyki", które dają własną ocenę przestępstwa sprawcy, jakże daleką od obiektywnych dowodów".

Gdzie tkwią źródła tej wyrozumiałości, są na pewno wielorakie, wydaje się, upraszczając, że sami opiniodawcy nie zdają sobie sprawy z choroby, którą maskują. „Zagarnięcie mienia społecznego... powstało nie ze złej woli....., lecz z braku zmysłu organizacyjnego i braku przygotowania fachowego na tak poważnym stanowisku..." Mój ty Boże, budowlanym kwiaty i złodziejom kwiaty, „uczciwy" i „nie uświadomiony" zagarnął sobie pięćset tysięcy złotych, podniósł stopę życiową o dziesięć stopni, kogo charakteryzuje wystawiona opinia, czy złodzieja? Nie wchodząc bliżej w zawiłości natury prawnej, w osądzie prostego człowieka, który należy, znowu z konieczności uogólnienie, do cechu budowlanych, złodziej nazywa się zawsze złodziejem i nic tu więcej nie można dodać ani ująć.

Polityka represyjna nie jest jedynym wyjściem, ale nie wolno jej zaniedbać. Przejrzyjcie jednak dzienniki, wyobraźcie sobie czytelnika naszych gazet po latach dziesięciu, dwudziestu, kiedy te niejednokrotnie szare i nieciekawe stronice nabiorą ceny, z jaką ciekawością my studiujemy stare pisma! Okaże się wówczas, mimo wszystko, że na pierwszy plan wyjdą nie złodzieje, lecz budowlani, robotnicy, inżynierowie, właśnie studenci, którzy w ubiegłym tygodniu zwołali sejmik kulturalny, właśnie organizatorzy pierwszej w Polsce wystawy numizmatycznej, to są owe „krople dni powszednich", którymi żyjemy.

TADEUSZ PAPIER

Tekst:
MESŁAW
MACHEJKO

Zdjęcia:
EUGENIUSZ
KUDAJ

W kawiarni „Agawa" modelki studenckiej spółdzielni „Puchatek" prezentują modę karnawałową

KARNAWAŁ

czyli źle i dobrze o zabawach

Karnawał. Upojne noce z soboty na niedzielę. Smętne niedziele spędzone na spijaniu barszczyków i rosołków, na zażywaniu proszków z krzyżykiem.

Karnawał. Piękne bale poszczególnych profesji: farmaceutów, lekarzy, dziennikarzy, prawników. Zaproszenia rozchwytane jeszcze przed ogłoszeniem o balu.

Karnawał. Zabawy szkolne. Te pierwsze. Nieśmiałe uściski rąk. Bicia serc...

Karnawał. Wzmocnione patrole milicji w noce zabaw.

Ruch w baraku Izby Wytrzeźwień.

Karnawał. Zapach przypalonych fryzur u mistrzów grzebienia. Maseczki kosmetyczne. Manicure i ważniejsze znacznie pedicure...

Karnawał. Aż do Popielca.

* * *

Kar-nawał. Ten taniutki kalambur już od dawna pokutuje u nas. Że to niby karnawał znaczy — nawał kar. Czy naprawdę? I tak to od swobodnej improwizacji na temat karnawału wpadamy w sam środek problemu zabaw. Bo w istocie, jest to probem niemały. Czy umiemy się bawić? Chyba nie. Czy chcemy uczyć się zabawy? Absolutnie nie! Jak się bawimy? Przeważnie fatalnie. Oczywiście, każdy z tych epitetów odnosi do kogo innego, są nawet tacy, co na żaden nie zasłużyli, ale nie jest ich zbyt wielu.

Skąd się bierze zabawa? Np. zabawa zakładowa? Mamy ich najwięcej i one stanowią zjawisko bardzo określonego typu. No więc, albo znajdzie się przy okazji cel społeczny na który będziemy zbierać pieniądze, albo nie znajdzie. Ostatecznie zabawa może być celem samym w sobie. Ubiera się salę szmatkami czy bibułkami, wynajmuje orkiestrę, wylepia plakaty. Przy wejściu, jeśli „ubaw" jest otwarty, sprzedaje się bilety po 15, 20 zł. Orkiestra gra. Towarzystwo tańczy, pije wino w bufecie, wódki oficjalnie nie ma. Ani jednej z zapowiedzianych atrakcji i niespodzianek. To tylko taka pozycja w plakacie. Nikt w to nie wierzy, nikt na to nie czeka. Nawet na poważnych balach. Atrakcja jest jedna: Antek ma w kieszeni pół litra czystej. To jest dopiero niespodzianka. Wódka zmieszana z tanim winem i oranżadą tworzy wybuchową mieszaninę o działaniu piorunującym. Nie daj Boże jakaś obraza, żal zadawniony, poderwanie dziewczyny sprzed nosa.

A poza tym nuda. Z rozpalonych łbów dymi, nogi się plączą...

Nie przeczę, że są takie komitety zabawowe, które potrafią upilnować swych gości, utrzymać w ryzach publiczność tańcującą. Ale nie sądzę, by takie zabawy cieszyły się uznaniem tej publiki.

Osobny zupełnie rozdział stanowią tzw. zabawy zamknięte, urządzane przez komitety zabawowe, często nawet Rady Zakładowe na terenie fabryki czy innego zakładu pracy ściśle dla swoich pracowników. Dla swojaków. Tam to odgrodzeni od świata murem i portiernią, zamknięci w salach balowych używają świata, nie chcąc uznać jego prawa do np. społecznej kontroli. Tak to wyrzucono sprzed drzwi zabawy, brutalnie i po chamsku, grożąc niemal pobiciem dwóch reporterów jednej z łódzkich gazet, która postawiła sobie za cel przeprowadzić kontrolę zabaw, wyciągnąć z niej wnioski i przy udziale czynnika społecznego opracować ostatecznie jakieś obowiązujące normy, według których organizowano by dobre, ciekawe i wesołe zabawy.

— Myśmy tu was nie prosili — ryczeli panowie z komitetu organizacyjnego. Zjeżdżajcie stąd, bo...

Rozmowa toczyła się na podwórku, reporterzy mieli legitymacje prasowe. Pikantny szczegół, że działo się to pewnej karnawałowej niedzieli na terenie zakładu tzw. wyższej użyteczności publicznej.

Boję się, że nie jest to jedyny wypadek „intymnej" atmosfery na zabawach „zamkniętych", których zamierzonym celem jest wymknięcie się spod kontroli nie tylko milicji, która słusznie składa dyskretne wizyty na każdej zarejestrowanej zabawie, wizyty czasem niezbędnej. Ale tacy organizatorzy mają jeden cel — uniknięcie kontroli społecznej, przedstawicieli referatu kultury DRN. Komitetu Antyalkoholowego czy prasy. Chodzi po prostu o to, by sobie popić, swoje sprawy pozałatwiać przy kieliszku, a nie w kotylionowym walcu. Tak więc pod sukienką zabawy kryje się chęć zorganizowania pijackiej meliny i to na terenie własnego zakładu pracy i to w towarzystwie żon, córek i narzeczonych.

Boją się tylko kontroli. Jak bardzo się boją świadczy fakt, że tylko znikomy procent organizatorów respektuje zarządzenia zobowiązujące do rejestracji wszystkich zabaw. Kto stara się o zezwolenie danego referatu kultury, kto zgłasza w ZAIKSIE repertuar orkiestry i program ewentualnych występów, kto wpłaca 100 złotych w Wydziale Finansowym, melduje w milicji? Na drugą połowę stycznia zgłoszono 25 zabaw w całej Łodzi. Tyleż więc zarejestrowano ich w referatach kultury. A ile ich będzie naprawdę? Ile tych zamkniętych? Tych, co to stanowią „prywatną sprawę" dyrekcji zakładów i rad zakładowych?

A strona artystyczna zabaw? Rzecz na pozór nie do opanowania, no bo jakże, zabawa nie ma prób jak sztuka w teatrze. Zabawa za to musi mieć swój program. I ten program należy kontrolować. Stąd oczywisty postulat powołania społecznych komisji wyposażonych we wszystkie przepustki upoważniające do wejścia na każdy teren, gdzie może odbywać się zabawa, o każdej porze dnia i nocy.

Powołanie takich komisji, surowych i bezwzględnych jest nakazem chwili. Tu nie wystarcza już sumiennie prowadzona akcja milicji, bo nie milicja jest od tego, by domagać się od organizatorów zaplanowanej loterii fantowej, czy zgaduj—zgaduli. Tu nie wystarczą dobre chęci „Expressu", bo ta gazeta nie jest władzą administracyjną dla organizatorów. Tu potrzebna jest wspólna akcja rad narodowych, milicji, komisji kultury, kuratorium (w odniesieniu do zabaw szkolnych) komitetu antyalkoholowego i prasy. Ta ostatnia, jak dotąd, działa bardzo sprawnie, nie bacząc na impertynencje i trudności.

Należy się spodziewać, że zakres pracy takich komisji byłby szerszy, tzn. objąłby również sprawy finansowe. Osobiście nie mogę się oprzeć przypuszczeniu, że przy okazji zabaw dokonuje się czasami małych malwersacji finansowych. Żeby choć raz ktoś zadał sobie trud i policzył, ilu to tańczących jest na sali, ile sprzedano biletów i ile pieniążków jest w kasie...

A więc pole do działania szerokie. Bo to i strona artystyczna, i jakość orkiestry, i kontrola repertuaru pod kątem ZAIKSU, i sprawdzenie kasy, i niektórych pokoików gdzie, kto wie, może tryska jakieś nieznane dotąd źródło z czerwoną kartką...

Ktoś zawoła: Boże! cóż to za czasy, cóż za straszliwy karnawał? Czy nie ma już dobrych kulturalnych zabaw?

Są, ale chwalić najłatwiej. Bo i cóż: że w „Malinowej" bal farmacji? — że w „Agawie" prezentują wieczorem rewię karnawałowej mody, że obowiązują stroje wieczorowe? To proste. A, że w szkołach łódzkich odbywają się bale i zabawy naprawdę na wysokim poziomie że np. do VII LO zaproszono instruktorów z Klubu Tańca Towarzyskiego by uczyli młodzież poloneza i zasad savoir-vivre'u? To też oczywiste. To cieszy. Bo daje nadzieję, że za jakiś czas zniknie ten styl zabaw, które dziś można nazwać jednym i dosadnym słowem — szmira.

W „Agawie"

„Poloneza czas zacząć..." Tak się bawią w łódzkich szkołach. Zdjęcie zrobiono w VII Liceum Ogólnokształcącym

Na zabawach „zamkniętych" i otwartych

JERZY DAGOBERT

Niesławny dzień

Komandor Tuchida dowódca ataku lotniczego na Pearl Harbour, obecnie misjonarz w mieście Nara

Dowódca armady viceadmirał Nagumo

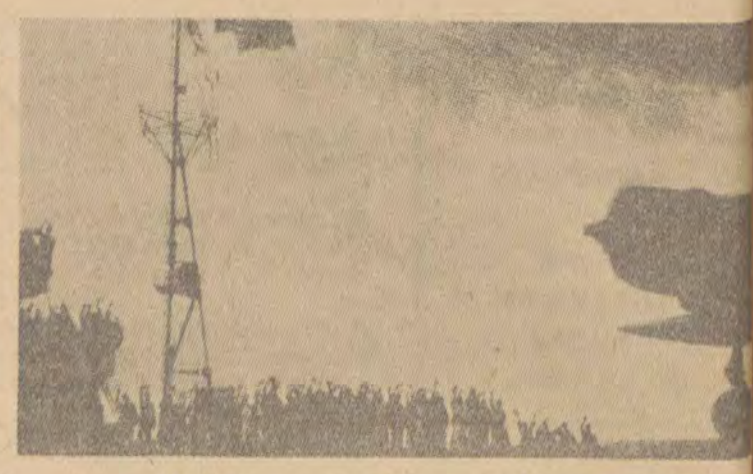

Start pierwszych maszyn z lotniskowca „Akagi".

Wieczorem 7 grudnia 1941 roku wszystkie rozgłośnie Stanów Zjednoczonych transmitowały przemówienie prezydenta F. Roosevelta: „Dzisiaj rano amerykańska baza wojenna w Pearl Harbour została nieoczekiwanie zaatakowana przez japońskie siły zbrojne. Tym samym USA znalazły się w stanie wojny z Japonią".

Atak na Pearl Harbour został uznany za największy podstęp jaki kiedykolwiek znano w dziejach wielkich wojen.

Dokładnie 11 miesięcy wcześniej admirał Isoroku Yamamoto dowódca floty japońskiej wezwał komandora Minoru Genda, wybitnie zdolnego oficera wywiadu lotniczego i zlecił mu wykonanie określonego zadania. 10 miesięcy później Minoru Genda złożył swemu szefowi szczegółowy raport. Admirał chwilę pomyślał, po czym rzekł: „A więc bardzo ryzykowne, ale nie niemożliwe".

17 września 1941 roku sztab generalny floty dysponował już dokładnie opracowanym planem ataku na Pearl Harbour. 125 tys. słów określało wszystkie warunki, jakie należałoby uwzględnić przeprowadzając tego rodzaju przedsięwzięcie. Rozpoczął się okres gruntownego treningu. Ze wszystkich jednostek floty i lotnictwa przybywali ludzie do bazy w Kure. Młody oficer, komandor porucznik Suzuki został przeniesiony ponownie na okręt, który opuścił przed kilkoma miesiącami. Tym razem zajął stanowisko dowódcy okrętu. W końcu października wybrańcy zajęli pozycje wyjściowe w bazach morskich, Saeki, Yokohama i Kure. 14 października statek pasażerski „Taiyo Maru" utrzymujący regularną komunikację z Hawajami otrzymał rozkaz zrezygnowania z dotychczasowego kursu. Wytyczono mu całkowicie nową trasę. Kapitan statku otrzymał polecenie notowania wszystkich obserwacji meteorologicznych łącznie z pomiarem wysokości fal przy określonej sile wiatru. Szczególną uwagę zwrócono na warunki lądowania samolotów oraz problemy tankowania na pełnym morzu. Statek płynął trasą przyszłego rajdu grupy admirała Nagumo. Siedem dni trwał pobyt „Taiyo Maru" w Pearl Harbour. Ludzie komandora Genda stwierdzili że jednostki amerykańskiej floty Pacyfiku nie są zgrupowane w głównych przystaniach. W rezultacie uzyskano dokładne zdjęcie całej bazy i wszystkich lotnisk znajdujących się w rejonie Pearl Harbour. Zdjęcia zostały zrobione z pokładu prywatnego samolotu. Każdy mógł takie zdjęcie zrobić.

* * *

21 października lotniskowiec „Akagi" należący do grupy admirała Nagumo opuścił swoją macierzystą bazę i wziął kurs na północne Kuryle. W ślad za nim wymykały się na tajemnicze randezvous pozostałe okręty. 90 % jednostek tajemniczej armady pochodziło z największej bazy wojennej Kure. Baza opustoszała niemal całkowicie ale łączność radiowa na jej terenie utrzymywana była przez setki radiostacji. Aby wyprowadzić wywiad amerykański w pole pozostawiono przy zastępczych radiostacjach radiotelegrafistów z okrętów, które odpłynęły. Kontrwywiad japoński wiedział doskonale, że wytrawni specelatwo ustalą każdą zmianę na stanowiskach radiotelegrafistów. Alfabet Morse'a przypomina pod tym względem charakter pisma. Grafolog łatwo może ustalić autora tekstu. Kamuflaż był tak doskonały, że nabrał się na niego również admirał Nagumo, głównodowodzący armady. 32 okręty wpłynęły do zatoki Tonkasz Bay. Zachowano nie wiarygodną wprost ostrożność. Marynarza który wyrzucił kosz z odpadkami za burtę, skazano na śmierć.

25 listopada admirał Nagumo wydał rozkaz wyjścia na pełne morze. 26 listopada admirał spędził jeszcze jedną bezsenną noc. Zadanie, jakie otrzymał, nie było łatwe. Silna mgła utrudniała kierowanie zespołem kilkunastu okrętów. Łączność radiowa została kategorycznie zakazana. Lotniskowce płynęły w trzech kolumnach. Za nimi osiem tankowców z ładunkiem ropy. Pancerniki i ciężkie krążowniki ochraniały skrzydła. Niszczyciele patrolowały najbliższe sąsiedztwo konwoju. Dywizjony łodzi podwodnych wyprzedziły flotyllę o kilkanaście minut.

28 listopada uzupełniono paliwo. 30 listopada pogoda pogorszyła się zdecydowanie. Tysiące beczek zapasowego paliwa zaczęło toczyć się po pokładach niczym kule bilardowe. Oficer pokładowy porucznik Hashimoto, ratując spadające beczki, wpadł między zwoje lin. Wrócił świecąc gołymi piszczelami. Z bliska można było dostrzec krwawe strzępy ciała.

Wieczór 2 grudnia. W messach kończono już kolację (ryż ze śliwkami i rzodkiewki). Każdy starał się zgadnąć, dokąd płyną. W związku z tym, że o celu wyprawy poinformowane były zaledwie trzy osoby, tajemnica miała szanse powodzenia.

W tym samym momencie kiedy armada admirała Nagumo znajdowała się w odległości kilkuset mil od Pearl Harbour skręcono gwałtownie na południe. Delegacje japońska w Waszyngtonie kończyła właśnie obrady. Rozmowy dotyczyły podziału stref wpływów na Pacyfiku. Amerykanie nie zgadzali się na proponowane przez Japończyków warunki. Delegacja japońska doprowadziła do zerwania rozmów. W zespole tysięcy ludzi, którzy płynęli na Hawaje, tylko admirał Nagumo znał treść tajnego rozkazu. A rozkaz ten brzmiał: „Jeżeli rozmowy zakończą się niepowodzeniem należy przeprowadzić natychmiastowy atak na Pearl Harbour. O ile zakończą się pomyślnie, armada powinna natychmiast zawrócić nie zauważona przez nikogo". Świat nie powinien się nigdy dowiedzieć o misji admirała Nagumo. Dlatego też do momentu pierwszej salwy na Pearl Harbour nie było ważniejszej sprawy od zachowania najściślejszej tajemnicy.

Szefowie łączności powykręcali nadajniki ze swoich central i schowali je pod poduszki, aby, broń Boże, wskutek nieostrożności nie odezwała się jakaś radiostacja. Puste beczki po ropie magazynowano skrzętnie wypełniając nimi wszystkie puste miejsca.

2 grudnia szef służby łączności grupy admirała Nagumo otrzymał następującej treści rozkaz: „Zdobyć górę Niitaka". Oznaczało to — „zaatakować Pearl Harbour, rozmowy waszyngtońskie zostały zerwane". Dowódcy okrętów przekazali tę wiadomość swoim załogom. Tego dnia na kolację do normalnych porcji dodano kwaterkę sake. Do późnych godzin w nocy w messach rozlegały się okrzyki „banzai".

Następnego dnia nowy duch wstąpił w piracką armadę. Na lotniskowcu „Akagi" admirał Kusaka pokazał zebranym oficerom prześliczną mapę plastyczną Perłowego Portu (Pearl Harbour). Setki tego rodzaju egzemplarzy rozdano załogom współdziałających bombowców. Piloci rozpoczęli pierwsze lekcje gry identyfikacyjnej. Uczono się szybkiego rozpoznawania sylwetek okrętów i samolotów nieprzyjaciela.

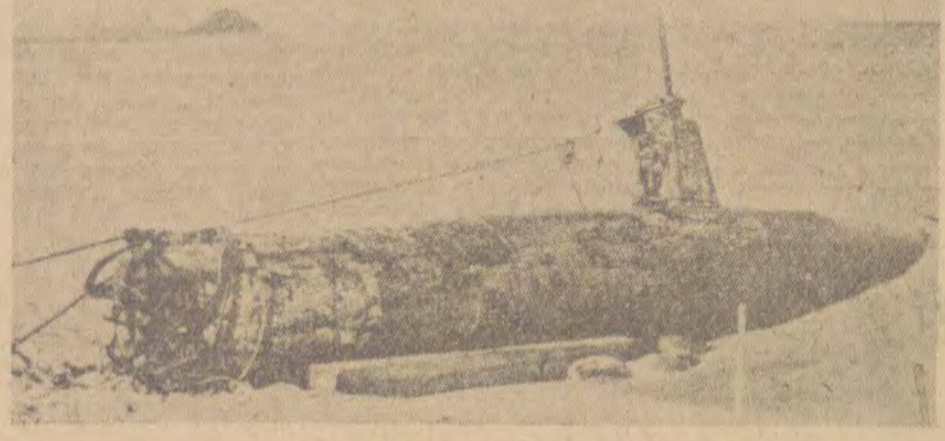

Żywa torpeda por. Sakamaki

5 grudnia 1941 roku (czasu hawajskiego). Ostatni dzień, w którym wielka armada kryła swoją obecność. W tym dniu trzy ostatnie tankowce opuściły konwój. Była to jedna z tych sentymentalnych chwil, które Japończycy tak bardzo lubią. Załogi żegnały się w milczeniu.

6 grudnia rano. Załogi wyległy na pokład, odczytano rozkaz dowódcy floty: „Losy imperium zależą od waszej odwagi". Na maszt wciągnięto flagę, która powiewała w 1905 roku na admiralskim okręcie w pamiętnej bitwie z Rosjanami pod Cuszimą. Ostatnia noc bez chwili spoczynku. Komiono, oficer nawigacyjny lotniskowca „Akagi" zszedł na pokład hangarowy i sprawdził aparaturę radiostacji. Była godz. 3 rano, 7 grudnia 1941 roku. Słychać było tylko hawajskie melodie.

W czołówce konwoju oficer torpedowy łodzi podwodnej I—24 słuchał tego samego programu. 28 ciężkich łodzi podwodnych zaległo w pobliżu Pearl Harbour blokując wszystkie punkty wyjściowe bazy. Otrzymały one rozkaz zniszczenia każdego okrętu, który usiłowałby wymknąć się z poza zasięgu pancerników i bombowców admirała Nagumo.

Porucznik Sakamaki skończył w tym dniu 23 lata. Dowodził dwuosobową żywą torpedą. Jego pocisk, przyczepiony został do łodzi podwodnej według starych zasad Papuasów. Plan akcji przewidywał wyrzucenie żywych torped przed rozpoczęciem ataku bombowców. Torpedy miały dotrzeć do zakamarków portu i zaatakować z odległości kilkudziesięciu metrów największe jednostki. Sakamaki napisał ostatni list do matki. Do koperty włożył kosmyk włosów i obrzynki z paznokci. Zakleił kopertę i przekazał kolegom macierzystej łodzi podwodnej. Sprawdził żyrokompas, ubrał się, włożył galowy mundur, pokropił się perfumami i czekał na rozkaz. Wiedział, że zbliża się godzina jego śmierci.

Świtało, gdy zanurzyły się dywizjony łodzi podwodnych. Sakamaki słyszał, jak silnik jego macierzystej łodzi pracuje na pełnych obrotach.

Na północy na lotniskowcach floty admirała Nagumo rozgrzewano silniki szturmowych eskadr. Małe grupki marynarzy i oficerów zbierały się przy ołtarzykach Shinto zakrapiając modlitwy tradycyjną sake. Na śniadanie wszystkie załogi otrzymały specjalne porcje rekki (ryż gotowany z czerwonym bobem, marynowane śliwki) porcję czekolady i tabletki benzedriny*). Świt zastał załogi samolotów w pełnej gotowości bojowej. Bogowie nie sprzyjali jednak wyprawie admirała Nagumo. O 3 nad ranem potężne fale uderzały o burtę lotniskowców, redukując bezpieczeństwo do minimum. Ale czekać nie było można. O godz. 6.00 7 grudnia 1941 roku pierwsza eskadra opuściła lotniskowiec „Akagi". W ślad za nią poszły następne. Widoczność była ograniczona. Admirała Nagumo zaczynały nawiedzać chwile zwątpienia.

* * *

W stacji radarowej Opana w północnej części Oahu dwaj dyżurni Józef Lockard i Georg Elliott kończąc poranny dyżur wpisali do raportu w rubryce uwagi: „Dyżur przebiegał spokojnie". W centrum informacyjnym porucznik Kermit Tyler sennym głosem przyjął raport i niecierpliwie czekał na zmianę dyżuru. Poranek zapowiadał cudną pogodę i młody porucznik uśmiechał się na myśl o pięknym niedzielnym spacerze z uroczą miss Mary.

Tymczasem Lockard i Elliott obserwując ekran radaru zauważyli coś niezwykłego. Masę punktów, które szybko rosły. Była godzina 7.02. O godzinie 7.03 stacja radarowa nawiązała łączność z centrum informacyjnym. Telefon odebrał szeregowiec McDonald. „Niestety, nie ma żadnego z oficerów, nic nie mogę w tej sprawie powiedzieć". Po kilku minutach zjawił się porucznik Tyler. Nie bardzo wierzył w relację McDonalda i prosił o potwierdzenie informacji. Lockard przysłał następny meldunek. „7.08,113 mil, 7.15,92 mile, na ekranie 50 punktów, szybkość około 40 km/godz. Czekam na odpowiedź: „Tyler: Szkoda, że nie możesz chuchnąć, od razu wydałoby się, że piłeś. Jak będziesz miał w dalszym ciągu przywidzenia, idź do dyżurnego okulisty". Lockard odpowiedział: „O, key".

*) środek przeciwsenny.

(d.c.n.)

PO CO TA MOWA?

przed kilkoma dniami sekretarz stanu ministerstwa spraw zagranicznych w Bonn, Carstens, oświadczając, że w obecnych warunkach nie rozważa się nawet w Bonn możliwości nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską.

Kwestia ta przypomina dosłownie politycznego węża morskiego. Co pewien czas koła rządzące w Bonn uważają za stosowne poruszyć sprawę stosunków z Polską, wyrażając przy tym wolę ich polepszenia. Ostre światło na sens tych przemówień rzuca oświadczenie Adenauera z 13 października 1959 roku złożone w czasie obiadu wydanego przez klub korespondentów prasy zagranicznej w Bonn. Kanclerz Adenauer powiedział wówczas: *„Mam nadzieję, że rozwój sytuacji w świecie pójdzie w tym kierunku, iż między Polską a Niemcami nastaną dobre i przyjazne stosunki. Żaden człowiek nie jest jednak w stanie przewidzieć kiedy to nastąpi".* W odpowiedzi na pytanie korespondenta PAP w jaki sposób kanclerz wyobraża sobie właściwie te stosunki i od czego je uzależnia, Adenauer oświadczył: **„Gdyby Związek Radziecki** *uwolnił 17 milionów Niemców zamieszkujących strefę wschodnią, byłby to pewien krok naprzód".*

Jednym słowem kanclerz Adenauer powiedział, co następuje: „Oddajcie mi Niemiecką Republikę Demokratyczną, niech moja Bundeswehra stanie nad Odrą i Nysą, a „będzie to krok naprzód". Dla kanclerza Adenauera na pewno krok naprzód i to trzystu kilometrowy w kierunku Warszawy i Moskwy.

Można bez końca grzebać się w oświadczeniach tego typu. W tych warunkach, w świetle ciągłych odwetowych nawoływań, żądań zgody na połknięcie NRD, kategorycznej odmowy uznania granicy na Odrze i Nysie i nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską trudno nie dostrzec fałszu w słowach kanclerza Adenauera.

NRF wchodzi w okres kampanii wyborczej. Socjaldemokraci niemieccy zarzucali wielokrotnie Adenauerowi i jego partii brak elastyczności w stosunku ze Wschodem, co musi doprowadzić — zwłaszcza w warunkach rozmów między Wschodem i Zachodem — do politycznej izolacji Bonn. SPD wielokrotnie zresztą wysuwała pod dyskusję Bundestagu sprawę nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską. Niemiecka socjaldemokracja w podstawowych sprawach skapitulowała wobec Adenauera. Musi ona jednak wysunąć jakieś kwestie, które by ją różniły od partii rządzącej. Można sądzić, że sprawa polityki wschodniej NRF do takich będzie należeć. Adenauer asekuruje się więc już dzisiaj i zabiera socjaldemokratom wiatr z żagli swoją gotowością do polepszenia stosunków z Polską. Lipa bo lipa, ale argumenty słowne są.

Jest to zresztą asekuracja również na zewnątrz. Kennedy pozostaje wciąż dla Bonn niewiadomą, a jest niemal pewne, że metody Kennedy'ego będą elastyczniejsze i że prawdopodobnie zbliża się okres wielkich rozmów między Wschodem i Zachodem. Pozycja rycerza zimnej wojny jest kłopotliwa.

Dla nas jednak probierzem możliwości polepszenia stosunków między NRF a Polską jest stosunek NRF do granicy na Odrze i Nysie. Powiedział o tym Władysław Gomułka na VII Plenum Komitetu Centralnego PZPR.

„My uważamy — powiedział Władysław Gomułka — *że nie przypuszczalnie, ale na pewno zbliżeniu między Polską a NRF dopomogłoby walnie otwarte przyznanie przez pana Adenauera i jego rząd, iż istniejąca na Odrze i Nysie granica polsko-niemiecka została ostatecznie ustalona. Wówczas na pewno zbliżenie między Polską a Niemiecką Republiką Federalną mogłoby nastąpić i być oparte na równoprawnych podstawach jak równoprawne są stosunki między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną".*

JACEK LEBEN

Notatki jugosłowiańskie

LONGIN PASTUSIAK

Jugosławia — Federacyjna Republika Ludowa leży w północno-zachodniej części Półwyspu Bałkańskiego; obszar 256 804 km², ludności 18.069.000 (1857 r.) stolica Belgrad; składa się z sześciu republik ludowych (Serbia, Chorwacja, Słowenia, Bośnia i Hercegowina, Macedonia, Czarnogóra) oraz kraju autonomicznego (Wojwodina) i obwodu autonomicznego (Kosowo i Metohija).

Tego rodzaju wiadomości o Jugosławii znaleźć można w Małej Encyklopedii Powszechnej i co najmniej tyle wyniósł każdy z nas ze szkolnych lekcji geografii. Zgoła inaczej wygląda wiedza o kraju zdobyta na miejscu, w rozmowach z ludźmi, z obserwacji w czasie podróży. Nie zamierzam przedstawić czytelnikowi całokształtu spraw, którymi żyją mieszkańcy tego ciekawego kraju, nie mam też pretensji do gruntownej analizy sytuacji politycznej czy gospodarczej. Rzucam garść wrażeń i refleksji, które być może ułatwią zrozumienie sytuacji w jakiej znajdują się nasi południowi pobratymcy słowiańscy.

* * *

Belgrad jest stolicą federacji. Liczy około 600 tys. mieszkańców i jest największym miastem kraju. Mimo, że pod tym względem jest równy Łodzi, różni się od niej w sposób zasadniczy. Przede wszystkim jest to stolica, centrum administracyjne. Dominują wielkie gmachy Skupszczyny (parlament jugosłowiański) oraz siedziba Komitetu Centralnego Związku Komunistów Jugosławii.

Ulice niewiele szersze od łódzkich, ale ruch znacznie większy i to zarówno pieszy jak i samochodowy. Na drogach i ulicach miast jugosłowiańskich przeważają włoskie Fiaty-600. Jugosłowianie produkują własne samochody ciężarowe, przyczepy oraz ładne i nowoczesne autokary. Z samochodów osobowych spotyka się najczęściej „Zastavkę" czyli Fiat-600 montowany na terenie Jugosławii.

Główne ulice Belgradu: Tita, Rewolucji i Kniazia Michała pełne są ludzi, wśród których nie brak turystów zagranicznych. Wystawy urządzone bardzo przeciętnie, wcale nie lepiej niż u nas, a już na pewno gorzej niż w Budapeszcie. Sklepów dużo, ale nie ma prywatnych. Spotyka się natomiast bardzo często prywatne warsztaty szewskie, stolarskie i inne drobne punkty usługowe. W Dubrowniku na przykład jest ulica, którą z pełnym uzasadnieniem można by nazwać szewską, ponieważ po obu stronach, w małych parterowych domkach ciągną się warsztaty mistrzów dratwy, z zapałem pracujących nad utrzymaniem w całości rozlatujących się kapci. Jugosłowianie są oszczędni i reperują buty aż do granic możliwości.

Belgrad leży w uroczym miejscu, obok Sawa wpada do Dunaju. Wystarczy wyjść tuż za miasto, aby zobaczyć piękne łączenie się wód i gęsty las tworzący dużą, zieloną łatę wyrosłą w widłach obu rzek.

Po drugiej stronie Sawy powstaje nowoczesne miasto. Architektura włoska — „moderne". To nowy Belgrad. W tej chwili są już gotowe budynki rządowe, niedługo przeniesie swą siedzibę Skupszczyna, Komitet Centralny ZKJ oraz większość ministerstw. Planuje się oczywiście także osiedla mieszkaniowe. Przestrzeni nie brakuje.

A jak wygląda jugosłowiańska prowincja?

Lublana największe miasto Słowenii liczy 150 000 mieszkańców Czyste schludne miasteczko ma uroczy park, za którym rozbudowuje się „studensko-naselje" — nowoczesne osiedle studenckie. Odwiedziłem je, aby zapoznać się z warunkami, w jakich żyją studenci jugosłowiańscy. W ośrodkach uczelnianych są odmienne warunki. W Lublanie osiedle zamieszkują studenci miejscowego uniwersytetu, ale domy akademickie są odrębną instytucją i finansowo zupełnie niezależne. W związku z tym opłata za mieszkanie musi być tak ustalona, aby pokryć wszystkie koszty związane z funkcjonowaniem domu akademickiego. Dla obniżenia tych kosztów sami studenci pełnią funkcję portierów, wodę ogrzewa się tylko dwa razy w tygodniu, wszystko po to, aby zmniejszyć miesięczną opłatę za mieszkanie.

Całe osiedle składa się w tej chwili z siedmiu bloków. Studenci na ogół mieszkają w pokojach dwuosobowych Wybudowano również elegancką stołówkę i kawiarnię. Cena zniżkowego obiadu — 95 dinarów, normalny obiad — 120 din. Kromka chleba (suchego) kosztuje 8 din. Jedzenie jest kiepskie w porównaniu z tym, jakie podają w naszych stołówkach. Obiady dwudaniowe, porcje mniejsze niż u nas, przy czym mięsa nie podaje się zbyt często.

* * *

Kiedy spojrzeć na mapę kraju gdzie czerwone żyłki oznaczają drogi, nie trudno stwierdzić, że Jugosławia jest opleciona rzadką siecią dróg. Jedyny wyjątek stanowi północno-zachodni zakątek kraju przy granicy z Włochami i Austrią. To Słowenia — uroczy kraj pełen pięknych gór (Alpy Julijskie), zachwycający wybrzeżem Adriatyckim.

Słowenia jest czysta, zorganizowana — jednym słowem wzorowa. Do dziś zauważa się tu silne wpływy austriackie. Wiele osób mówi po niemiecku, szczególnie przedstawiciele starszego pokolenia. Młodzież nie wykazuje entuzjazmu dla nauki języka niemieckiego, woli angielski lub francuski.

* * *

Wybrzeże adriatyckie stanowi dla Jugosławii cenny skarb. Jest stałym dostarczycielem dewiz. Według danych opublikowanych w piśmie „Polityka" tegoroczne wizyty turystów zagranicznych w pierwszych ośmiu miesiącach utrzymały się mniej więcej na poziomie roku ubiegłego, natomiast wpływ dewiz zagranicznych był większy o 13 proc. Z wykazu wpływów dewizowych według krajów, z których pochodzą turyści widać, że pierwsze miejsce zajmuje NRF. Jednakże dewizy niemieckie zwiększyły się tylko o 6 proc., podczas gdy turyści francuscy zostawili o 10 proc. więcej pieniędzy niż w roku ubiegłym. Widać Niemcy są oszczędniejsi.

Od Triestu na północy po Dubrownik na południu, ciągna się na przestrzeni kilkuset kilometrów malownicze plaże piaszczyste lub kamieniste. Opatia, Zdar, Split, to tylko niektóre ważniejsze ośrodki wczasowo wypoczynkowe wybrzeża adriatyckiego.

W Dubrowniku wszyscy żyją z turystyki Hotele są stosunkowo drogie. Pojedyńczy pokój w pełni sezonu kosztuje 800—1.000 dinarów za dobę Turyści wolą więc korzystać z prywatnych pokoi. Kiedy z pociągu na stacie lub ze statku na przystań wysypie się tłum turystów, natychmiast rzuca się na nich miejscowa ludność. Słychać wtedy dyskretne szepty: Zimmer? soba? room? Tak mieszkańcy Dubrownika wynajmują swoje pokoje turystom.

Jeżeli ktoś chce przyjąć do siebie turystę, musi zgłosić mieszkanie w państwowym biurze wynajmu. Biuro oczywiście zatrzymuje dla siebie poważną część zapłaty i właścicielowi zostaje niewielka suma. Co odważniejsi więc i praktyczniejsi Jugosłowianie starają się uniknąć pośrednictwa biura i sami wynajmują mieszkania turystom. Jest to nielegalne i dlatego propozycje padają szeptem. Właściciel mieszkania uważnie rozgląda się dookoła w obawie przed policją.

Wszyscy się zgadzają, że na kilkaset tysięcy turystów, którzy corocznie odwiedzają Jugosławię — co najmniej połowę stanowią Niemcy. Język niemiecki słyszy się wszędzie — na plaży, na ulicy, w restauracjach i na wspinaczkach górskich. Przed najbardziej luksusowymi hotelami stoją sznury samochodów zaopatrzonych w tabliczki z literą „D". Na drogach oprócz Fiatów 600 (z reguły należących do Jugosłowian), spotkać można „Volkswageny" i „Ople" z niemieckimi numerami rejestracyjnymi.

Kiedy łamanym słoweńskim językiem poprosiłem o bilet do sławnych grot w Postojnie kasjerka prowadząca równocześnie statystykę gości zagranicznych, najpierw postawiła znaczek w rubryce „Bundesrepublik", a potem oczekując tylko formalnego mojego potwierdzenia spytała: „Deutsch?" — Z Polski — odpowiedziałem. Kasjerka uśmiechnęła się i przeprosiła. Zrozumiałem postępowanie kasjerki, gdy u wejścia do grot podzielono nas na grupy językowe. Po Jugosłowianach najliczniej reprezentowani byli Niemcy.

W Dubrowniku zabrakło drukowanych przewodników w języku niemieckim. Mimo wrogich wręcz stosunków między Jugosławią a NRF, fala turystów niemieckich nie słabnie. Przyczyną zerwania stosunków dyplomatycznych było uznanie przez Jugosławię Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Rząd NRF kieruje się tzw. doktryną Hallensteina i nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych z żadnym państwem, które uznaje NRD (z wyjątkiem Związku Radzieckiego).

Jugosłowianie nie mają zbyt wiele sympatii dla Niemców. Zbyt żywe są jeszcze wspomnienia ostatniej wojny, w której ich kraj doznał jednej z największych krzywd moralnych i materialnych. Z drugiej strony zdają sobie doskonale sprawę, że niemieccy turyści są dostawcami dewiz, dlatego potrafią zachować uprzejmy uśmiech i ciepłe słowo dla każdego z nich.

* * *

Nierzadko można spotkać w Jugosławii Polaków. W Lublanie, Postojnie, Rijece, w Dubrowniku: wszędzie można spotkać naszych rodaków. Przeważnie są to studenci odbywający praktyki wakacyjne. W czasie wizyty na jednym z jugosłowiańskich uniwersytetów mówiono nam, że najlepiej układa im się współpraca z Polską. Wymiana studentów między obu krajami osiągnęła pokaźne rozmiary.

Co robią Polacy w Jugosławii? Przede wszystkim podróżują. Przyjmują ich serdecznie, spotykają się z daleko idącą pomocą. Ponieważ wszelkie wyjazdy „naszych" związane są z obowiązkowym już prawie robieniem zakupów, zaciekawiło mnie jak od tej strony radzą sobie w Jugosławii. Oczywiście — obuwie, najczęściej damskie. Nawet mężczyźni się znają i kupują szpilki, szpilki szare, szpilki czarne z broszą i szpilki brązowe z kwiatkiem, szpilki za 5.000 dinarów i szpilki za 7.000 dinarów — słowem tylko szpilki. Aż przykro mi było słuchać przypadkowych rozmów naszych rodaków. Odnosiło się wrażenie, że cała Jugosławia najeżona jest szpilkami... oczywiście damskimi.

Spotkałem studenta polskiego w Belgradzie, który od razu zapytał mnie, czy nie przywiozłem „Szarotki". Miałem jedną — opowiadał mi, sprzedałem za 22 tys. din. Niezły interes.

Najniższe płace jakie spotykałem w Jugosławii były w granicach od 7—10 tysięcy dinarów. Są to płace niewykwalifikowanego personelu technicznego i niższe pensje urzędnicze. Natomiast zarobki inżynierów są stosunkowo wyższe, a pensje dyrektorów fabryk często przekraczają 50 tysięcy dinarów.

Dla uzmysłowienia sobie wartości tych sum podaję ceny kilku artykułów Przeciętny obiad w restauracji kosztuje 350—400 dinarów. Kilogram chleba — 60 dinarów. Kilogram jabłek od 80 do 160 dinarów. Przeciętne buty męskie 4.500—6.500 dinarów, szpilki 4.500—8.000, samochód Fiat-600—650.000 dinarów, mała czarna w kawiarni — 40 dinarów.

* * *

Jugosławia składa się z 6 republik. Różnią się one nie tylko językowo, ale także odmienną kulturą i pozostają na różnym poziomie rozwoju ekonomicznego. Najbardziej uprzemysłowiona jest Słowenia W Czarnogórze panują stosunki, które z powodzeniem odnoszą się do XIX wieku. Jest to okręg typowo rolniczy i do przekonań jego mieszkańców niełatwo trafiają nowe poglądy. Nic dziwnego więc, że Serbowie, Kroaci, Słoweńcy i wszystkie pozostałe grupy narodowościowe dworują sobie z poczciwych Czarnogórców. Szczególnym obiektem żartów jest ich nieco patriarchalny stosunek do kobiet.

Opowiadano mi wiele anegdot, z których przytaczam niektóre. Na ośle jedzie Czarnogórzec. Za nim słaniając się na nogach idzie jego żona. Spotyka ich znajomy, pozdrawia i pyta.

— Dokąd idziecie?

— Odprowadzam żonę do szpitala — odpowiada spokojnie mąż.

Kobieta w Czarnogórze kroczy zawsze za mężem. Po wojnie ku zdumieniu cudzoziemców kobiety szły przodem. Powód? Dużo pozostawionych przez Niemców min.

Czarnogórcy są uważani za bardzo leniwych ludzi. Podobno jeden z nich przyjechał do Wojwodiny, której mieszkańcy słyną z pracowitości. W czasie spaceru wpadł do sadzawki. Na rozpaczliwe krzyki zlecieli się okoliczni chłopi i jeden z nich spróbował podać tonącemu motykę. Czarnogórzec ostatkiem sił odkrzyknął:

Za motykę nie chwycę do końca życia... I utonął.

Jedna z ulic Nowego Sadu

Dziewczyna z Hercegowiny w stroju ludowym

Dubrownik

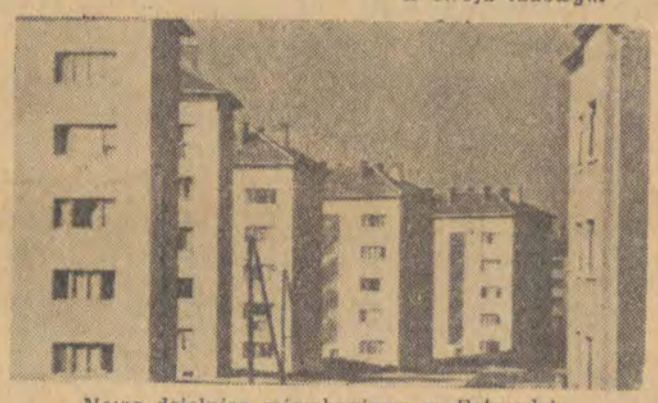

Nowa dzielnica mieszkaniowa w Belgradzie

Zelenika — hotel i plaża

HORACY SAFRIN

Z cyklu „Judaica"

Ballada o pustej karczmie

Hula wiatr po rozdrożach, deszcz szeleści w chróstach.
Na uboczu, zgarbiona, stoi karczma pusta.

Mur ocieka wilgocią, blaknie cegieł sepia,
ziejąc czarne okieńce, jak wyklute ślepia.

Tylko komin zrudziały, sam nie wiedząc po co,
boryka się z wichrami i własną niemocą.

Stoi karczma koślawa, z piekłem się przyjaźni,
wpleciona na kolisko gminnej wyobraźni.

Bo gdy północ wybije, okna toną w świetle,
kwilą skrzypki pieściwe, wtórzą im basetle,

warczy bęben, łka fagot, podzwaniają zele:
huku-stuku, diabelskie tłucze się wesele.

Drze się bisi marszelik, rzewne rymy składa,
gdy na ślubnym kobiercu staje Lilit blada.

A pragnienia niesyte, tęsknoty najcichsze
wyfruwają ukradkiem i tańczą na wichrze,

łamią dachy, gną drzewa, wypadły na łęgi,
wydymają chałaty, suknie i siermięgi....

Chłop się żegna lękliwie, Żyd modlitwę szepce,
a parki kochające tulą się w izdebce———

Hula wiatr po rozdrożach, deszcz szeleści w chróstach.
Na uboczu, zgarbiona, stoi karczma pusta.

Wiersz o Herszlu z Ostropola

W kapeluszu dziurawym, to w kołpaku lisim,
w chałacie wystrzępionym, niby strach na wróble,
nawiedzałeś miasteczka, wsie i nory mysie,
wydrwiwając kopiejki, złotówki i ruble.

Sprośnik, trefniś wędrowny, świszczypała, śmieszek,
filut, o szpakowatej brodzie młodzieniaszek,
sypałeś jak z rękawa łaciatej bekieszy
złotem swych dykteryjek, anegdot i fraszek.

Śmiechem zdrowym dudniły łaźnia i gospoda,
ku uciesze młodzieży, ku zgorszeniu babin,
śmiał się krawczyk i balwierz, furman, nosiwoda,
źlił się kupiec opasły i wielebny rabin.

W domu żona zrzędziła, dzieciak nie dojadał,
gdy płatałeś figlarne swoje hocki-klocki
i gromiłeś przeklętej melancholii gada —
Herszele z Ostropola, wnuku don-kiszocki!

A cięty był twój dowcip jak miecz obosieczny,
płomień buntu w twych oczach niebieskich się palił,
lecz żaden cię dziejopis piórem nie uwiecznił,
ani rzeźbiarz twych rysów w gipsie nie utrwalił.

Pozostała o tobie niepisana księga,
filuterna, swawolna, z respektu wyzuta,
i kamrat nieodłączny: humor twój, łazęga,
wystający jak palec z podartego buta.

300 lat PRASY POLSKIEJ

WACŁAW PAWLAK

To był początek

W 1860 r. Łódź była już miastem czterdziestotysięcznym. Nie posiadała jednak dotąd własnego pisma periodycznego. Obwieszczenia władz miejskich starym zwyczajem „odbębniano" po ulicach, bądź też ogłaszano je w pismach warszawskich.

Podobno w tym czasie czyniona była przez jakiegoś nauczyciela próba wydawania pisma polskiego w Łodzi, które jednak po ukazaniu się kilku numerów upadło. Wiadomość ta jest wszakże niepewna.

W dwa lata później na porządku dziennym jednego z posiedzeń rady miejskiej miasta Łodzi znalazł się projekt litografów łódzkich — Petersilgego i Czaczkowskiego w sprawie *„wydawania pisma periodycznego, obejmującego wszelkie ogłoszenia i wiadomości, odnoszące się do handlu i przemysłu miejscowego"*.

Rada miejska projektu tego nie poparła, Petersilge nie zraził się wszakże odmową. W rok później — w gorącym czasie powstania styczniowego — zapewniwszy sobie przychylność naczelnika wojennego Łodzi oraz poparcie przemysłowców łódzkich, wyjednał zezwolenie władz rosyjskich na wydawanie pisma dwujęzycznego pod nazwą: *„Łódzkie ogłoszenia — Lodzer Anzeiger"*.

Pismo ukazało się pod koniec 1863 r. i wychodziło 2 razy w tygodniu. Wydawca gazety głosił, że jej celem głównym jest „podawać do powszechnej wiadomości wszelkie rozporządzenia władz, a szczególnie miejscowych".

W 1865 r. pismo zmieniło tytuł na *„Lodzer Zeitung — Gazeta Łódzka"*. Wychodziło odtąd 3 razy w tygodniu. Treść pisma została znacznie urozmaicona. Obok rozporządzeń i obwieszczeń władz, drukowanych nadal w języku polskim i niemieckim, na łamach gazety zaczęły ukazywać się przedruki artykułów politycznych z urzędowych organów warszawskich oraz felietonów technicznych z gazet pruskich. Ogłoszenia kupców i przemysłowców dopełniały całości pisma. Polską wersję gazety redagował nauczyciel Rybka.

W 1880 r. Petersilge otrzymał zezwolenie wydawa swego pisma 6 razy w tygodniu. W tym czasie zlikwidował on polską wersję gazety, a w zamian dawał stały dodatek w języku polskim pt. *„Kronika"*.

W 1881 r. ukazało się już drugie codzienne pismo niemieckie w Łodzi — *„Lodzer Tageblatt"*. Brak było natomiast pisma polskiego. Kiedy księgarz łódzki Cezary Rychter zwrócił się do władz o wydanie koncesji na pismo polskie pod tytułem *„Dziennik Handlowy, Polityczny i Literacki"*, minister spraw wewnętrznych udzielił odpowiedzi odmownej, opierając się na opinii gubernatora piotrkowskiego, że „nie jest rzeczą pożądaną rozpowszechnianie w mieście Łodzi polskich druków".

Grupa inteligencji polskiej w Łodzi nie zrezygnowała jednak z myśli wydawania pisma polskiego. Po usilnych staraniach w Petersburgu otrzymano wreszcie koncesję i w dniu 5 stycznia 1884 r. ukazał się pierwszy numer *„Dziennika Łódzkiego"*.

Jako wydawca pisma figurował geometra łódzki Zdzisław Kułakowski. Pierwszy skład redakcji stanowili: H. Elzenberg i S. Kossuth — redaktorzy, K. Filipowicz — sekretarz redakcji oraz W. Wisłocki i L. Kościelecki — współpracownicy.

Wydawca gazety jako główne zadanie postawił przed pismem „przedstawicielstwo w prasie pracy przemysłowej kraju". Dziennik w zasadzie wierny pozostał temu zadaniu, jednak zasięg jego zainteresowań został znacznie rozszerzony. Poza bogatym działem gospodarczym, dużo miejsca w gazecie zajmowały felietony, sprawozdania z życia literackiego, teatralnego i muzycznego, telegramy, oraz kronika krajowa i zagraniczna. Do pisma dołączany był dodatek powieściowy.

„Dziennik Łódzki" obejmował 6 stron formatu i wychodził codziennie z wyjątkiem poniedziałków. Poziomem technicznym jak i doborem treści dorównywał ówczesnej prasie warszawskiej.

Pismo to po pamiętnym „buncie łódzkim" w 1892 r. zostało na żądanie gubernatora Millera zamknięte.

Po półrocznych zabiegach, pod koniec 1897 r. ukazało się w Łodzi znowu pismo polskie: *„Rozwój"* — dziennik polityczny, przemysłowy, ekonomiczny, społeczny i literacki, ilustrowany — jak głosił podtytuł gazety. Wydawcą i redaktorem był Wiktor Czajewski. Wprowadził on do pisma bogatą kronikę miejscową i ilustracje, a w dziale inseratów, jako nowość — drobne ogłoszenia.

W lutym 1898 r. poczęło wychodzić w Łodzi nowe pismo codzienne: *„Goniec Łódzki"*. Zezwolenie na wydawanie gazety uzyskał hr. H. Łubieński, faktycznie zaś redaktorem był Antoni Mieszkowski. Dziennik ten, pomyślany na znaczną skalę i mocno reklamowany nie utrzymał się długo i po znacznych stratach został zawieszony.

W miejsce *„Gońca Łódzkiego"* ukazał się znowu na krótko *„Dziennik Łódzki"* wydawany przez Dziadżkowskiego, a następnie *„Kurier Łódzki"*, podpisywany przez Stanisława Książka, jako wydawcę, oraz Gliksona i Antoniego Zielińskiego, jako redaktorów.

Gazety łódzkie pod względem bogactwa treści i wysokości nakładu pozostawały daleko w tyle za prasą warszawską. *„Łódzkie Ogłoszenia"* biły zaledwie 300 egzemplarzy, *„Dziennik Łódzki"* — około 1000, *„Rozwój"* — 1200, *„Goniec Łódzki"* — 1.600 egzemplarzy.

Zainteresowanie prasą wzmogło się w Łodzi dopiero w okresie rewolucji 1905 r. Ożywienie się ruchu robotniczego znalazło swoje odzwierciedlenie w rozpowszechnianiu się gazet. Odtąd też nakład dzienników łódzkich stale rósł i uległ wkrótce podwojeniu.

Rok 1886 w prasie łódzkiej

Trzy dni bez gazet, bez listów i wiadomości wszelkich za wyjątkiem nadsyłanych drogą telegraficzną. Od trzech dni jesteśmy odcięci od świata z powodu zasp śnieżnych na drogach żelaznych. Zaspy śnieżne większe są aniżeli w roku zeszłym; przytem ostry wiatr paraliżował pracę ludzi zajętych odkopywaniem toru.

* * *

Jeszcze nie postanowiono nic pewnego co do tramwajówa już bardzo wielu właścicieli fabryk myśli o sprzedaniu pewnej ilości utrzymywanych przez się koni, ponieważ obliczają, iż będą mogli część swych towarów wozić tramwajami; wyznaczają nawet konie na sprzedaż. Czy trochę nie za wcześnie?

* * *

Z Kijowa donoszą, iż na kontraktach tamtejszych wyrobv łódzkie mają pokup, podobno sprzedano ich na sumę około 250 tysięcy rubli.

* * *

Nasza straż ogniowa ochotnicza pozyskała onegdaj beczki do wody, które miały być sprawione kosztem miasta. Beczki te już nadeszły do miasta i znajdują się w domach rekwizytowych Oddziału I i II. O beczkach tych wkrótce obszerniej napiszemy.

* * *

Zarząd miasta wystąpił do władzy wyższej z prośbą o przyłączenie całej ulicy Piotrkowskiej do miasta i o wyasygnowanie na roboty niwelacyjne i brukarskie potrzebnej sumy 38,281 rubli. Jest nadzieja, że i bezpieczeństwo ruchu wozowego wymaga obniżenia poziomu ulicy; jest ona wypukła, spadki ku rynsztokom są znaczne, a gdy środek jezdni zajmą tramwaje, komunikacja po bokach stałaby się niemożliwa.

* * *

Onegdaj około godziny 9-tej wieczorem jadący biedką pocztową woźnica najechał nieostrożnie na p. S. na skręcie z Piotrkowskiej na Południową i uderzył go silnie dyszlem w w piersi.

* * *

Nowy skład win z południowego brzegu Krymu. Sprzedaż detaliczna i hurtowa w Łodzi, Piotrkowska, dom braci Schröter. Rekomenduje więcej niż 40 gatunków naturalnych win krymskich nie ustępujących swą dobrocią najwyższym gatunkom zagranicznych marek.

* * *

Francuzka życzy sobie udzielać lekcji języka angielskiego i francuskiego. Oferty można składać w redakcji „Dziennika Łódzkiego" pod literami E, F.

* * *

W jednym ze składów fabrycznych pewnej bardzo znacznej firmy w naszym mieście sprzedają opakowane jak najpiękniej sztuki i półsztuki wszelkiego rodzaju towarów białych lecz niestety taka sztuka dwu kawałków zamiast z jednego. Widocznie więc iż tak zwane resztki lub półsztuka zawiera w sobie pewną „sztuczkę". Oto składa się z sprzedawane są publicznie jako dobry towar. Jak to nazwać?

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

Wspominki

Inwazja pamiętników na literaturę trwa. Właściwie każde szanujące się Wydawnictwo rzuca na rynek serie pamiętników. I czyni dobrze. Pamiętniki są u nas czytane, lubimy pamiętniki, może ze względu na ich walory poznawcze, jakąś bardzo subiektywną ale przecież niewątpliwą wiedzę o latach, które już nie powrócą, a może z racji tej mgiełki rzewnej trochę i wzruszającej, która zawsze spada na młodość. W pamiętniku bodaj najlepiej widać osobowość pisarza, pisarz daje się w aurze wspomnień osobistych dokładniej poznać, to także niebagatelny walor tego rodzaju literatury.

Czy nie nastąpi jednak inflacja w tej dziedzinie? Już dziś powiadają złośliwi, że mamy więcej pamiętnikarzy niż pisarzy. Myślę, że nie nastąpi. Bywają bowiem „lata chude" dla pamiętnikarza, puste, jałowe. Sto takich lat za dziesięć porządnych i ciekawych nie starczy. Bywają też „lata tłuste". Kto je przeżywał — ma o czym pisać, wcale nie musi doczekać się siwych włosów i brody.

Wydawnictwo łódzkie zaprezentowało nam ostatnio wspominki Jana Huszczy*), pisarza z dużym dorobkiem, ale przecież jeszcze młodego. Wygląda to z pozoru na fenomen, a w gruncie rzeczy Huszcza trafił na „lata tłuste" i rzeczywiście dowiódł swego prawa do pisania pamiętnika. Nie jest to zresztą klasyczny pamiętnik, nie ma tu umownych dat, zdarzenia, przeżycia podane są we fragmentach, zależnie od znaczenia, jakie im przypisał sam autor. Myślę, że jest to słuszna zasada selekcjonowania materiału pamiętnikarskiego. Nie trzeba za wszelką cenę pisać o wszystkim. Nie wszystko jest ciekawe.

No więc na wstępie — okruchy dzieciństwa, znana to literatura, idzie w setki tomów, ograna, a jednak jest w latach szkolnych Huszczy coś specyficznego, co go odróżnia od reszty. To atmosfera małego miasteczka na tzw. „kresach". Dzisny — jak mówią wtajemniczeni. Przypomnijmy sobie tylko „Miasteczko nad Olszanką", wydane w 1948 roku, a stanie się jasne, że Huszcza zna ten

MAREK WAWRZKIEWICZ

Przestępstwo dewizowe w Teatrze Powszechnym

Hanna Boratyńska (Hesler) i Zbigniew Płoszaj (Robert).

Foto: Gerard Puciato

Motto: Nie wolno wystawiać idiotycznych sztuk teatralnych.
K. I. Gałczyński

W ten sposób skreśliwszy przy pomocy tytułu i motta swój stosunek do ostatniej premierzy Teatru Powszechnego *), już nieco spokojniej mogę zająć się szeregowaniem powodów, dla których sztuka pod melodramatycznym tytułem „Serca w matni" nie powinna się ukazać na scenie. Od razu zastrzegam, że doskonale zdaję sobie sprawę jak, mimo najszczerszych chęci, mało mogę Teatrowi zaszkodzić. Jestem przekonany, że sztuka będzie szła przynajmniej 50 razy przy akompaniamencie tego, co przyjęto nazywać rykiem zachwytu. Sztuka wywołuje bowiem silne wrażenia: nikt nie wzrusza ramionami. Są tacy co się wzruszają, są też tacy, którzy po trzykrotnym ataku wściekłości (ataków jest trzy) zapadają w stan głębokiego zwątpienia i duchowej prostracji przerywanej intelektualną czkawką. Tych pierwszych jest, niestety, większość.

Luksusem są w tej sztuce symbolizowane przez plastikowo-metalowe mebelki z Cepelii, biały telefon, oraz bar na kółkach, na którym stoją dwie butelki po winach. W tej pomysłowej scenografii rozgrywa się historia, której tematykę przyjęto uważać za „wiecznie aktualną". Główną postacią jest mama umiejąca sprytnie (niecna!) stworzyć w rodzinie przekonanie, że jest kobietą — ideałem: reprezentuje dobroć, delikatność, krańcową miłość do dzieci. Ale naprawdę mama — jak łatwo przewidzieć — jest obrzydliwym babsztylem, synów wprawdzie kocha, ale miłością złą, i — jak autor niedwuznacznie sugeruje — nie zbyt czystą. Wobec tego wychowuje ich tak, aby zawsze trzymali się za rąbek jej taftowych sukien, żeby się, broń Boże, nie ożenili i w ogóle żeby na zawsze przy niej pozostali. Rozbija więc (budząc nienawiść widowni) narzeczeństwo młodszego syna, który jest cielęciem i maminsynkiem, niszcząc przy tym psychicznie, i niemal biologicznie, niewinne dziewczę — narzeczoną. Ponieważ starszy syn zdołał się ożenić, to ona (mama-babsztyl) robi wszystko, aby i ten związek rozbić. Kosa trafia jednak na kamień. Żona starszego syna jest nad podziw rozsądna i nad życie kochająca pracę naukową, kobietą-naukowcem. Ona to w kulminacyjnej scenie demaskuje mamę (budząc aplauz widowni), męża zabiera, i w ten sposób salonowy mecz kończy się wynikiem 1:1.

Nie sposób odmówić autorowi znajomości rzemiosła, biegłości; trzeba przyznać, że to n i c jest dobrze skonstruowane i nie ma w nim ani jednej dłużyzny. Nicość jest jednak tylko nicością, pozory pozorami, moda na sztuki salonowe minęła wiele lat temu, a fakt wystawiania ich jest żałosnym nieporozumieniem.

Aktorstwo jest bardzo trudnym i ciężkim zawodem. Proponuję ustanowienie karty praw aktora, która pomogłaby mu bronić się przed podobnymi rolami. Aktorzy robią wszystko, aby tchnąć życie w zakurzony i pożółkły papier, ale te zamierzenia są z góry skazane na niepowodzenie.

Przed rolami nie obronili się więc ani Janina Jabłonowska, ani Zbigniew Niewczas, ani Ewa Brok-Brzeska i Hanna Borytańska, ani Zbigniew Płoszaj.

Stało się, sztukę wystawiono, teatr będzie żył dalej bez rozgrzeszenia.

Janina Jabłonowska (matka), Ewa Brok-Brzeska (Krystyna, Zbigniew Niewczas (Dawid).

Foto: Gerard Puciato

***) Państwowy Teatr Powszechny. Sidney Howard „Serca w matni" przekład Wacława Komarnicka. Reż. Zbigniew Kopalko, scenografia Eugeniusz Markowski. Prapremiera polska 12. I. 1961 r.**

z „tłustych lat"

Jan Huszcza

temat, lubi go jeśli tak można powiedzieć i zawsze go z łezką, w ładnej formie poda.

Zwróćcie, proszę, uwagę na talent gawędziarski Huszczy. Anegdota trafnie na ogół dobrana, dobrze charakteryzująca ludzi, dowcip, odrobina liryki, coś bardzo osobistego, prywatnego, a przecież równocześnie mnóstwo faktów, najzupełniej konkretnych. Widzimy Wilno z lat międzywojennych, poznajemy pisarzy i dziennikarzy miasta nad Wilią i Wilenką, koczownicze życie akademików parających się poezją i chociaż Huszcza zarzeka się, że nie jest naukowcem, czy badaczem, przecież ma jego pamiętnik pewne walory poznawcze. Inna rzecz, że Wilno warte jest stanowczo szerszego i głębszego opisu niż to zrobił Huszcza. Nie można chyba pisać tylko co oczy widziały i uszy słyszały, istnieje jeszcze tzw. „literatura przedmiotu". Mniej znajdziemy może walorów poznawczych w świetnie napisanym rozdziale „Mój przyjaciel Michaś", ale za to, przyznaję, nie spotkałem tak pełnokrwistej, tak znakomicie skreślonej postaci wola — Michasia. Więcej już w rozdziale następnym — „Życie teatralne nad Oką". Ostatecznie, któż inny pokazał formowanie się polskiej lewicy kulturalnej na froncie i na zapleczu Wojska Polskiego torującego sobie drogę do kraju z nad dalekiej Oki? Myślę, że ten fragment może i nie najlepszy formalnie, wybiega poza pamiętnik, jest dokumentem. Podobnie „Dom przy ulicy Radziwiłłowskiej". Pamięć ludzka jest krucha, zawodzi zwłaszcza w czasach nasyconych wydarzeniami, uchodzą pamięci ludzie ciekawi, zasłużeni dla kultury. Znaliśmy ich jeszcze wczoraj, a już dziś zapominamy. Borejsza, Jaracz, Grus, Wyszomirski i zapominamy tytuły pism, które wychodziły — „Odrodzenie", „Kuźnica", „Wieś", „Rzeczpospolita". Huszcza przypomniał tamte lata. Zapewne nie tylko z osobistych względów. W gruncie rzeczy chodzi o istotny przyczynek do czasów budzenia się życia kulturalno-artystycznego w Polsce Ludowej.

Nie ze wszystkim zgadzałbym się, nie sądzę, aby knajpo — kawiarnia „Fraszka" (dziś jest tu sklep z delikatesami) w jakiś istotny sposób ożywiała życie kulturalne robotniczej Łodzi. To był krąg niewątpliwie uroczy, w miarę pijany, z pewnością zapładniający, ale zamknięty. Pisarze mieszkali na walizkach, nie bardzo ich nasze miasto obchodziło, uciekali jeden po drugim, po sławnym „Pickwicku" pozostały chyba tylko długi. Nie trzeba ciągnąć legendy za uszy.

Huszcza jest pisarzem pracowitym i dosyć wszechstronnym. Po tomikach satyr, humoresek, felietonów, opowiadań, po tomie wierszy z całego życia, który wyszedł ubiegłego roku, polecamy naszym czytelnikom na progu roku nowego „Wspominki nie zawsze frasobliwe".

***) Jan Huszcza „Wspominki nie zawsze frasobliwe" Wydawnictwo Łódzkie, 1960, cena zł 12.**

MARIAN PIECHAL

JEDNO RZECZY

Ludzie pragną poezji

— Czy aby tak na pewno?
— Na pewno!
— Z czego taki wniosek?
— Z reakcji na wiersz Antoniego Słonimskiego p. t. **„W obronie wiersza"**, zamieszczony w „Nowej Kulturze" (nr 2—563). Dawno już wiersz nie wywołał takiego poruszenia wśród czytelników. Musiał ugodzić ich w czułe miejsce. Musiał trafić do ich przekonania.
— Do przekonania? Nie u wszystkich. Wielu czytelnikom nie przemówił właśnie do przekonania.
— Ale ich poruszył?
— Poruszył.
— A więc trafił w jakieś czułe miejsce.
— Różne są te czułe miejsca. W każdym razie przyznać trzeba, że nie pozostawił obojętnym nikogo z tych, którym przemówił do przekonania, ani z tych, którym nie przemówił.
— Jest to więc skutek prawdziwej poezji?
— Nie. Jest to skutek trafnego podjęcia aktualnego tematu.
— Na czym on polega?
— Na problemie czytelności wiersza, jego komunikatywności, jego adresie społecznym — czyli dla kogo ostatecznie poezja ma być? Czy dla wąskiej elity profesjonalnych znawców i snobistycznych kiperów, czy też dla szerszych kręgów normalnych czytelników pięknej sztuki słowa, służącej wyrażaniu treści, która by odpowiadała przyrodzonej człowiekowi potrzebie serca i wyobraźni?
— Czyżby stan współczesnej praktyki poetyckiej przekroczył granice zdrowego rozsądku?
— Niewątpliwie. O tym właśnie mówi wiersz Słonimskiego i przez to trafił w sedno nabrzmiałego dziś zagadnienia. Stąd podział czytelników tego wiersza na entuzjastów i oburzonych.
— Entuzjaści w znacznej części to ci, którzy w ogóle nie czytają i nie odczuwają poezji. Stąd ich entuzjazm dla wiersza Słonimskiego, który rozgrzesza i usprawiedliwia ich duchowe prostactwo.
— Zaś oburzeni w znacznej części to ci którzy w wierszach szukają nie poezji, lecz potwierdzenia własnych sztucznie wykoncypowanych wyobrażeń o poezji. Stąd ich oburzenie na wiersz Słonimskiego, który demaskuję i wyszydza ich jałowy i bezduszny snobizm.
— Ale poza tą peryferyjną pianą ogromna większość zainteresowanych tym wierszem czytelników to jednak szczerzy i prawdziwi miłośnicy poezji.
— Jedni wdzięczni Słonimskiemu za wyrażenie troski o humanistyczny wymiar współczesnej poezji, drudzy zaniepokojeni jego uproszczonym widzeniem tego tak niezwykle trudnego i złożonego zagadnienia. Na tle gwałtownych i nie zawsze równoczesnych przemian w różnych dziedzinach życia zachwianie równowagi dotyczy wszystkich niemal odmian współczesnej twórczości, zwłaszcza najczulszego jej instrumentu, jakim jest poezja. Stąd z jednej strony uzasadniona troska o zachowanie jej odwiecznej funkcji wzruszeniowej i poznawczej, klarownie jednoznacznej, a z drugiej strony równie uzasadniony niepokój z powodu formalnie ograniczającego ją oportunizmu.
— W każdym razie prawdą jest, że większość tzw. nowatorskich ciągotek płynie ze snobizmu, z bezmyślnego kultu mody, ze stadnego pędu do ekstrawagancji, z fałszywego wyobrażenia o nowoczesności bez dostatecznych miar osobistej kultury i wiedzy o sztuce, z braku poczucia istotnej zależności nowatorstwa od tradycji.
— Zaś przeciwnicy eksperymentu, obstając przy tradycji, bronią przynajmniej tego, co sprawdzone, przed ryzykiem deprecjacji. I jednym i drugim chodzi jednakże o istotę rzeczy. Wynika z tego, że wbrew temu, co się mówi o powszechnym braku zainteresowania kulturą, ludzie pragną poezji.
— Ale nie wierszy pozbawionych poezji.
— O to chodzi. Wiadomo, że wiersz to niekoniecznie poezja i odwrotnie. Jedno jest pewne, że procent poezji zawarty w starych formach wiersza jest stosunkowo większy, niż w nowych. Stąd, abstrahując od presji przyzwyczajenia, zrozumiała skłonność większości czytelników raczej do tradycyjnych, niż nowatorskich form wiersza.
— A więc Słonimski ma czy nie ma racji?
— I ma i nie ma. Ma, kiedy woła o czytelny sens, o powszechnie zrozumiałą treść ludzką wiersza, nie ma, kiedy ten sens i tę treść kojarzy nieuchronnie ze starą formą wiersza, koniecznie z regularnym rytmem i pełnym rymem. Wielka poezja grecka, a nie tylko ona, o dyskursywnym sensie i humanistycznej treści oparta była wprawdzie na rytmie, ale za to zupełnie nie znała rymu. Większość arcydzieł poezji światowej obywała się się bez rymu i bez schematycznego rytmu. A i w poezji polskiej bezrymowy wiersz wolny, wcale nie jest nowiną. Rym to dopiero wynalazek średniowiecza, a regularny rytm to świadectwo niewolniczej zależności wiersza od piosenkarstwa, dowód librettowej jego funkcji w muzyce. Poezja zachodnioeuropejska dawno już pozbyła się tej zależności, a najbardziej zaawansowane dziś artystycznie poezje francuska i anglosaska, zrezygnowały w ogóle z rymu i przeważnie z tzw. regularnego rytmu. Tytuł utworu Słonimskiego powinien zatem brzmieć: „W obronie poezji", i wtedy autor ma rację, a jeżeli brzmi: „W obronie wiersza", to należałoby dodać, że „starego" w znaczeniu formalnym i wtedy autor nie ma racji.
— Słowem ma rację, kiedy wzywa do zaangażowania wiersza w sprawy oczywiście ludzkie, a nie ma racji, kiedy apeluje do zastarzałego oportunizmu estetycznego czytelnika.
— Czyli forma wiersza nie może być bardziej nowoczesna, niż zawarta w niej treść. Wynika to z jedności treści i formy w poezji. Wniosek z tego, że poeta powinien wiersz tak napisać, jak czytelnik go czyta.
— To znaczy jak?
— Czytelnik czyta wiersz nie dlatego, że jest tradycyjny lub awangardowy, lecz jedynie dlatego, że go wzrusza, przemawia do jego wyobraźni lub intelektu albo po prostu zmysłu estetycznego. I to jest dla niego ostateczną miarą utworu. To samo powinno obowiązywać twórcę.
— W tym właśnie leży sedno rzeczy. Ludzie bowiem pragną poezji, a nie wierszy, ilustrujących teorie na temat poezji. Teorie to system reguł. Według reguł można jedynie produkować, a nie tworzyć czyli odkrywać i wynajdywać. Z prawdziwą twórczością mamy do czynienia dopiero tam, gdzie kończy się teoria, a zaczyna się eksploracja nieznanego, z przywołaniem na pomoc wszystkich władz intelektu z intuicją na czele. Jądrem poezji jest to, co zostaje po odrzuceniu łupiny teorii.

Myrakitan, to rodzaj zielonego jaspisu, który noszą naczelnicy plemion indiańskich. Badając od 10 lat Amazonkę i jej dopływy spotkałem starych tubylców, mających w swych naszyjnikach myrakitan. Mówili oni, że kamień ten pochodzi z kraju dzikich kobiet, które zamieszkują źródła rzeki Jary. Ten jeszcze nie zbadany, północny dopływ Amazonki, leży prawdopodobnie o kilkaset kilometrów od Gujany Francuskiej. Według opowiadań ludzi z puszczy nad jeziorem Yakura w pewne noce wiosenne zbierają się te dzikie kobiety — wodzowie plemienia i wywołują boginię, którą uważają za przodka swej rasy. W czasie uroczystości rozdzielają wśród siebie myrakitan, jako dowód łaskawości niebios. Kamienie te — jak mówi legenda — kształtują się w głębi wód, przybierając kształt nakazany przez formuły magiczne i — wyjęte na powierzchnię — natychmiast się krystalizują.

W roku 1547 adiutant słynnego hiszpańskiego zdobywcy Pizzarra, Don Francisco de Orellana, stwierdził, że spotkał wojownicze kobiety żyjące w zupełnym odosobnieniu od mężczyzn.

Ochrzcił nawet ogromną rzekę, którą zbadał, Amazonką, na pamiątkę mitologicznych Amazonek, które niegdyś miały swe królestwo w Azji Mniejszej.

Przez 4 wieki opowiadanie jego uważano za bajkę.

a jednak AMAZONKI ISTNIEJĄ

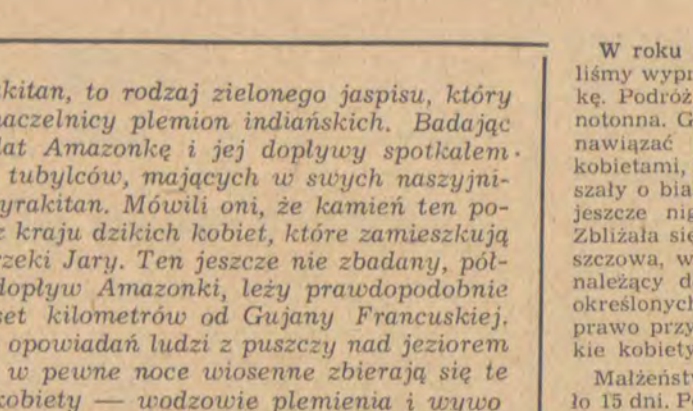

o dzikich kobietach brazylijskich znad Amazonki

W roku 1955 zorganizowaliśmy wyprawę nad Amazonkę. Podróż była długa i monotonna. Głowiłem się, jak nawiązać kontakt z dzikimi kobietami, które zapewne słyszały o białych, ale może ich jeszcze nigdy nie widziały. Zbliżała się właśnie pora deszczowa, w której Indianie, należący do pewnych ściśle określonych szczepów, mają prawo przyjść i poślubić dzikie kobiety.

Małżeństwa te trwają około 15 dni. Potem Indianie wracają na swoje tereny. Z rozmowy z tubylcami naszej eskorty dowiedziałem się o podstępie, który pozwoliłby nam wejść w kontakt z Amazonkami. Należało naśladować śpiew miłosny młodych wojowników, zapowiadający ich przybycie .Jest to krzyk ptaka „urapuru". Przez kilka dni, przy ognisku obozowym, powtarzałem półgłosem sylaby tego dziwnego okrzyku.

Indianie, udający się do państwa Amazonek, mają ułatwioną trasę. Odkrywają bowiem na piaszczystych ławicach kawałki kory czy węzły z trawy oznaczające, że droga jest wolna. Bez trudu docierają więc do żeńskiej wspólnoty. Dla nas sytuacja przedstawiała się inaczej. Mogliśmy krążyć dniami i nocami dookoła ich wsi i nie zauważyć jej. Zresztą na widok nieproszonych gości, Amazonki natychmiast wygaszają ognie. Trzeba więc było użyć podstępu. Powtarzaliśmy krzyk ptaka, czekając na odpowiedź Amazonek.

Wkrótce usłyszeliśmy odpowiedź. W ciszy wieczoru rozległ się śpiew kobiet na tle fletu i bębnów. Przypominało to monotonny telegraf, nalegający jednak i groźny. Równocześnie zabłysły drgające światełka w obozie Amazonek. Przewodnicy zabrali się do wycinania drogi wśród gęstej trawy i olbrzymich stosów zwiędłych liści. O świcie dzieliła nas tylko zasłona z lian, którą wystarczyło odsunąć, aby ujrzeć to tajemnicze społeczeństwo. Jeszcze kilka uderzeń toporkiem i znalazłem się na polanie. Była to równina osłonięta kilkoma parasolowymi drzewami, na której stały obszerne domy, pokryte słomą, bez żadnych ozdób. Pośrodku biło źródło, którego wody spływały pośród pasma trawy, gubiąc się wśród drzew.

Spoza nich wyszła grupa kobiet i zbliżała się w moim kierunku. Robiłem przyjacielskie gesty, aby je zachęcić. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, gdyż, jak się potem wydało, nieśmiałość była im całkowicie nieznana. Zaprowadziły mnie do głównego domu wioski. Wysoka matrona, o czarnych włosach splecionych w warkocze, ujęła mnie za ramiona i obróciła dookoła przyglądając się z bliska moim wąsom. Jej muskuły dorównywały męskim. Po oględzinach młode dziewczęta zaczęły śpiewać pieśń powitalną, tworząc orszak wokół mnie. Inne kobiety wyszły na nasze spotkanie. Wiele z nich niosło na ramionach wysokie kosze z wikliny pełne świeżych ryb.

Wbrew zwyczajom tutejszych kobiet, miały długie włosy spadające do bioder. Niektóre nosiły coś w rodzaju drewnianej zbroi i nagolenników, zakrywających zupełnie nogi. Na trasie naszego marszu nie zauważyliśmy ani jednego dziecka. A dzieci jest przecież pełno w zwykłych wioskach indiańskich. Poszliśmy wreszcie do wspólnego domu. Trzy stare, tatuowane kobiety, przystrojone w pióropusze, stały u wejścia.

Jedna z nich podała mi tykwę, pełną napoju koloru kawy, zachęcając do wypicia. Wiedząc, że wiele ludów poczytuje sobie za obrazę niewypicie ich narodowego napoju, choćby był najgorszy, że istnieją plemiona, dla których miarą męskości jest umiejętne wypicie jakiegoś alkoholowego napoju, wreszcie, aby nie okazać słabości wobec tych kobiet — opróżniłem naczynie jednym tchem.

Skutek był nieoczekiwany. Całkiem nie dwuznacznie kobiety dały mi do zrozumienia, że mogę sobie wybrać spośród nich dwie małżonki. Chciałem jakoś umiejętnie odrzucić tę ofertę, a jednocześnie czułem, że zaczynam słabnąć. Mój wyraz twarzy musiał zdradzać takie udręczenie, że Amazonki zmieniając nagle decyzję, zaprowadziły mnie do pustego domku, gdzie runąłem jak długi na posłanie z liści.

Nie mogę sobie przypomnieć, jak odnaleźli mnie towarzysze wyprawy. Nie wiedząc, co za choroba tak mnie powaliła, nie umieli mi pomóc i dopiero jeden z tragarzy zaaplikował mi napój ze smoły, chininy i ziół. Zasnąłem po nim twardo i na drugi dzień byłem już na nogach. Kąpiel w lodowatym jeziorze przywróciła mi energię. Usiłowałem wytłumaczyć moją słabość Amazonkom przy pomocy gestów. Ale pochlebne zainteresowanie moją osobą, okazywane w chwili przybycia, zmieniło się teraz w wesołość.

Wkrótce odkryłem przyczynę całej gafy. Napój, który wypiłem, był napojem miłosnym. Według zwyczaju mężczyzna — gość powinien wypić parę kropli, a nie wszystko, jak to ja uczyniłem. Aby poprawić nieco swoją reputację rozdałem im przywiezione podarki: czekoladę, ciastka, biszkopty, sztuki perkalu i szklane paciorki.

Przebywając wśród tych dziwnych kobiet miałem okazję ocenić ich zalety: gościnność, humor i odwagę, która przewyższała niewątpliwie odwagę mężczyzn. Tylko sprawa dzieci otoczona była tajemnicą. Ośmieliłem się więc zapytać o to wodza szczepu. Poprowadzono mnie wówczas nad brzeg rzeki i po 2 godzinnym wiosłowaniu znaleźliśmy się w wiosce, gdzie w dwóch domach rosło młode pokolenie. Jeden zajmowały dziewczęta, drugi chłopcy, którzy przebywają tam tylko do wieku dojrzałego. Potem zabierani są przez indiańskich ojców. Dziewczęta zaś rosną, żyją i umierają w żeńskim społeczeństwie.

Pozwolono mi obejrzeć ceremonię przygotowania najstarszych dziewcząt do uroczystości zaślubin. Wybrane i pouczone przez wodza plemienia i te trzy kobiety, które mi podawały napój miłosny, dziewczęta przyodziały swoją nagość jednakowymi tunikami z włókien kory o odcieniu kości słoniowej. Szyję, twarz, ramiona i stopy masowano im zielonkawym płynem o zapachu benzoesu. Był to zapewne płyn ułatwiający tatuaż. Istotnie dwie kobiety — kapłanki rysowały na ciałach narzeczonych jednakowy deseń. Znaki te oznaczały nie tylko przebudzenie ich kobiecości, ale miały również przypominać przeszłość plemienia.

I tu właśnie leży najbardziej zdumiewająca zagadka Amazonek. Wśród wielu zdjęć, jakie zrobiliśmy, znajdują się fotografie tatuażów „dziewic dżungli". Fotografie te nie dają mi spokoju — rysunki tatuażów są bowiem identyczne z tymi, które można oglądać na kamieniach — pomnikach w okolicach jeziora Titicaca z przeciwnej strony Ameryki Południowej. Są one też identyczne z pewnymi symbolicznymi nacięciami na stelach Egiptu z czasów faraonów.

wg E. B. PRADO
opracowała:
W. SZCZEPAŃSKA

Na szlakach myśli racjonalistycznej

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Nakładem „Książki i Wiedzy" ukazało się ostatnio kilka ciekawych publikacji, poruszających zagadnienia laicyzacji życia publicznego w Polsce.

Wymienię tu na wstępie niewielką książeczkę*, zawierającą wyznania osobiste dwóch znakomitych uczonych polskich — prof. Tadeusza Kotarbińskiego i prof. Leopolda Infelda. Treścią tych wyznań jest odejście od wierzeń i wyobrażeń religijnych. W obu wypadkach to odejście dokonało się bardzo wcześnie, w latach jeszcze chłopięcych, zaś bodźcem był bunt przebudzonego rozumu przeciwko temu, co prof. Kotarbiński nazywa „jawną nieprawdą".

Obaj autorzy sygnalizowanej tu publikacji traktują zagadnienia religijne z powagą, spokojem i szlachetną tolerancją dla ludzi odmiennych poglądów, bez pobłażania jednak dla tego wszystkiego, co na obszarach fideizmu jest nadużywaniem uczuć religijnych.

Godna uważnego przestudiowania jest praca zbiorowa — „Ateizm a religia"** składają się na nią wykłady wygłoszone na centralnym kursie aktywu partyjnego w maju 1957 r. Wśród prelegentów znajdujemy m. in. nazwiska: Prof. Tadeusza Kotarbińskiego („Niektóre problemy etyki niezależnej"), prof. Andrzeja Nowickiego („Wybrane zagadnienia z historii ateizmu i krytyki religii") oraz prof. Zygmunta Poniatowskiego („Religia i nauka").

Wszystkie zamieszczone w książce prelekcje zawierają mnóstwo ciekawego i cennego materiału naukowego, który odegrać może niezwykle pomocną rolę przy kształtowaniu i umacnianiu racjonalistycznego poglądu na świat.

Tłumaczona z niemieckiego książka Olafa Klohra poświęcona jest wyłącznie tematowi **winięta. Dzisiaj bowiem pojęcia te są zdecydowanie przestarzałe i hamują postęp ludzkości".**

Książka Klohra napisana jest bardzo przystępnie i żywo, a jej treści poznawcze, ujęte w formę popularną, może sobie przyswoić bez zbytniego wysiłku nawet mało przygotowany czytelnik.

Broszura Józefa Siemka — „Czy to są sprawy religii"*** ma charakter publicystyczno-polemiczny, a jej zasadniczą treścią jest sprawa stosunków między Państwem i Kościołem w okresie od porozumienia z grudnia 1956 r. aż do chwili obecnej.

„Nauki przyrodnicze, religia i kościół"***. Założenia tej pracy autor formułuje we „Wstępie" następującymi słowy: **Przeciwieństwo między naukami przyrodniczymi a religią, to znaczy między naukowym a biblijnym obrazem świata, jest nierozerwalnie wplecione w historyczny przebieg zdarzeń. Dążąc do rozwoju socjalizmu nie powinniśmy tego przeciwieństwa pomijać (...) Gdy mówimy o różnicy poglądów, nie chodzi nam bynajmniej o wypowiadanie walki religii ani o walkę z Kościołem, lecz o rzeczową naukową dyskusję, której celem jest udostępnienie człowiekowi prawdziwego, naukowego obrazu świata oraz uwolnienie go od pojęć powstałych przed tysiącem lub dwoma tysiącami lat, gdy nauka była jeszcze mało rozuczanie i wychowanie młodzieży, świadome macierzyństwo i in.**

Nakład broszury — 10 tys. egz. wydaje się stanowczo za szczupły. I sto tysięcy nie byłoby za wiele, bowiem zagadnienia przez autora poruszane są zbyt ważne, by je trzymać pod kocem. Ta publikacja powinna dotrzeć do najszerszych warstw społeczeństwa, aby jej treść mogła znaleźć zrozumienie i właściwą ocenę wśród wszystkich ludzi uczciwych i rozsądnych — bez względu na ich osobisty stosunek do spraw religijnych. Właśnie chodzi o to, by te sprawy wyraźnie oddzielić od innych, które wbrew fałszywym pozorom — nie mają nic wspólnego z religią, są natomiast tylko złą, zgubną i wsteczną polityką watykańskiego „uniwersalizmu".

Dla czytelników, którzy stoją z dala od zagadnień omawianych w broszurze Siemka, wiele przytoczonych przezeń szczegółów będzie prawdziwą rewelacją, stawiającą w osobliwym świetle niektóre koła i ośrodki kleru rzymsko-katolickiego w Polsce.

Broszura Siemka warta jest nie tylko przeczytania, ale i głębszej refleksji. Nie można lekceważyć tego, co pisze autor, opierając się na faktach, o stanowisku hierarchii rzymskokatolickiej w sprawach tak istotnych jak granice zachodnie Polski, na-

---

***) Tadeusz Kotarbiński „Przykład indywidualny kształtowania się postawy wolnomyślicielskiej" — Leopold Infeld „Religia i ja" — str. 48; cena zł 3.**

****) „Ateizm i religia" — str. 312; cena zł 15. — (Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione).**

*****) Olaf Klehr „Nauki przyrodnicze, religia i kościół". Tłumaczył J. Pakulski. — Str. 196; cena zł 7.**

******) Józef Siemek „Czy to są sprawy religii?" — str. 100, cena zł 2.**

Rozstrzygnięcie konkursu świątecznego

Nasz konkurs świąteczny, ogłoszony w numerze 51/52 „Odgłosów" — wywołał duże zainteresowanie Czytelników. Konkurs nie był zbyt trudny, nadesłano większość prawidłowych odpowiedzi. A oto jak powinno wyglądać rozwiązanie:

Dziadek Mróz	13	14	22	30	29	35	41	42	43	37
Pere Noel	6	5	11	10	9	8	15	23	24	25
Santa Claus	57	58	64	65	66	60	61	54	46	45
św. Mikołaj	56	48	40	34	28	20	19	18	26	32

Nagrody wylosowali:

Teczki aktówki:

Jerzy Zieliński — Łódź, Piotrkowska 50
Michał Zagórski — Łęczyca, Belwederska 27

Cenne książki:

Edward Błaszczak — Łódź, Piotrkowska 275
Ewa Nagurska — Łódź, Folwarczna 53
Stanisława Szuba — Łask, Warszawska 16
Marian Kmiotek — Łódź, Więckowskiego 26
Janina Krawczyk — Piotrków, Krakowska 36
Edward Pabich — Łódź, Al. Politechniki 7 (VI DS)
Bohdan Koziołkiewicz — Kutno, pl. Wolności 3
Janina Sakkilari — Łódź, Świerczewskiego 50

Czytelników — którym tym razem szczęście w losowaniu nie dopisało — zapraszamy do udziału w następnych naszych konkursach.

ANDRZEJ BERKOWICZ

Dzieje łódzkich fortun (VII)

Ostatnie łotrostwo Ludwika Geyera

W Muzeum Miejskim w Łodzi znajduje się w jednym jedynym zachowanym egzemplarzu pewien eksponat, który jest świadectwem wielkiego łotrostwa, jakie popełnił Ludwik Geyer w ostatnich latach swego życia. Rzecz na pozór wygląda zgoła niewinnie. Jest to mała bawełniana szmatka, w kształcie liścia, na której w ramce wydrukowano czerwony napis: „Brod" a pod spodem czarnym drukiem „Dreizig Kop. Sr." W jakim kolorze był sam materiał, trudno już dzisiaj ustalić, gdyż zachowany egzemplarz jest zupełnie zniszczony i wypłowiały. Łatwiej już natomiast ustalić inne rzeczy i chyba istotniejsze, ściśle wiążące się z historią tego eksponatu.

Gdzieś około roku 1859 w całym Królestwie Polskim dał się odczuć wielki brak bilonu srebrnego i miedzianego. Na skutek niepewnej sytuacji politycznej, wojennych pogłosek, kryzysu ekonomicznego ludzie tracili zaufanie do pieniądza papierowego i gromadzili srebrne a nawet miedziane monety kopiejkowe. Doszło do tego, że w obrocie zupełnie nie było drobnych pieniędzy, kupcy nie mieli więc czym wypłacać reszty, fabrykanci nie mieli drobnych na wypłaty dla robotników itp. Chcąc rozmienić papierowego rubla na srebrny bilon trzeba było lichwiarzowi zapłacić 2—3 proc. od sumy jaką się wymieniało. Początkowo radzono sobie w ten sposób, że banknot rublowy rozcinano na 4 części, które miały wartość po 25 kopiejek.

Ludwik Geyer sposób ten uznał za zbyt prymitywny i wprowadził, jako pieniądz pomocniczy, swoje bony, które w Łodzi ochrzczono „brodami geyerowskimi", od napisu „Brod", który Geyer kazał na bonie wydrukować. Oczywiście nie był tu wynalazcą. Różnego rodzaju bony, z powodu braku monety zdawkowej, kursowały wówczas w całym Królestwie a nawet Cesarstwie.

W Łodzi jednak w lipcu 1860 roku pierwszy je wyprodukował Geyer, a dopiero później znalazł on licznych naśladowców.

Początkowo Geyer emitował 6.000 sztuk na sumę 450 rubli, później jednak puszczał ich w obieg coraz więcej, tak że w 1864 roku było już ich na sumę 18 tysięcy rubli.

Różnie próbowano tłumaczyć napis „Brod" na bonach geyerowskich. Jego żyjący wnuk pan Gustaw Geyer uważał na przykład, że było to celowe ograniczenie do zakupu chleba i artykułów spożywczych, by robotnik nie przepijał zarobków. Trudno jednak podejrzewać Ludwika Geyera o tak wyraźną troskę o morale i zdrowie łódzkiej klasy robotniczej, zwłaszcza w świetle dowodów, że bony geyerowskie były honorowane i przez szynkarzy. Prawdopodobnie Geyer, który był właścicielem młyna parowego i zaopatrywał miasto w mąkę, umówił się na samym początku z cechem piekarzy, że będą honorowali jego bony.

Od momentu wypuszczenia pierwszego bonu, Geyer płacił robotnikom tylko tymi „brodami". Odbywało się to na ich własne ryzyko, gdyż magistrat łódzki wielokrotnie ogłaszał, że akcja wydawania bonów jest nielegalna, państwo nie gwarantuje ich wykupienia, a wszelkich pretensji poszkodowani będą mogli dochodzić jedynie na drodze cywilnych spraw sądowych.

Robotnik Geyera nie miał jednak wyjścia; nie podjąć tego ryzyka oznaczało przecież śmierć głodową, bo Geyer nie chciał płacić innymi pieniędzmi jak tylko bonami. Zresztą bony były honorowane; sklepikarze przyjmowali je, jedynie podnosząc ceny. My już znamy stan interesów Geyera wówczas, ale przeciętny obywatel, który nie miał przecież wglądu w księgi Geyera nadal uważał go za milionera i nikomu nie przyszło do głowy, że może on swoich bonów nie wykupić. Tymczasem rzecz przecież wyglądała tak, że Geyer nie tylko nie miał drobnych, ale w ogóle nie miał pieniędzy. Przez system bonów społeczeństwo łódzkie właściwie kredytowało Geyera i to na luksusowych warunkach: bez zabezpieczenia i procentów.

Władze, aczkolwiek uznając akcję emitowania bonów za nielegalną, tolerowały ją ze względu na rzeczywisty brak bilonu. Z chwilą jednak, gdy powódź bonów zaczęła zalewać Łódź, mówiono wówczas o „markomanii", w Łodzi, (od marka czy bon), coraz powszechniejsze stawały się nadużycia i fałszerstwa. W związku z tym władze podjęły szereg kroków represyjnych, które zmusiły poszczególnych emitentów bonów do ich wycofania z obiegu.

Pod koniec 1862 roku w obiegu pozostawały jedynie „brody geyerowskie". Przesłuchany w tej sprawie przez burmistrza Łodzi Geyer oświadczył, że „o ile się kto do mnie zgłasza z rzeczonymi kartkami... takowe natychmiast od bieram i daję gotowe pieniądze". Zapewnił Geyer również burmistrza, że nowych bonów nie wydaje. I jedno i drugie nie było prawdą. Już wtedy nie chciał honorować swoich bonów, twierdząc gdy ktoś się do niego zwracał o wykup, że bony są sfałszowane. W 1862 roku Geyer wykupił bonów na 300 rubli, a jak sam zeznał burmistrzowi, było ich wtedy w obiegu na sumę 6.070 rb. Ile ich było na prawdę — nie wiadomo, gdyż Geyer, który jak pamiętamy żywił awersję do buchalterii, nie prowadził żadnej kontroli wydawanych przez siebie bonów. Nie zależało mu na tym z przyczyn wiadomych, tak samo jak raczej na rękę był mu fakt, iż bony, jego, wykonane bardzo prymitywnie, były fałszowane. Charakterystyczne jest, że ktoś, nie wiadomo kto, złożył na policji denuncjację, iż tkacz Karol Klos ukrywa u siebie w domu transport sfałszowanych bonów geyerowskich, które przywieziono z zagranicy.

Klosa aresztowano ale podczas rewizji w jego domu nie znaleziono żadnych falsyfikatów.

Wreszcie, gdy ilość bonów geyerowskich stawała się coraz większa i gdy jednocześnie Geyer nie chciał ich wykupić, twierdząc, że są fałszywe, naczelnik powiatu zarządził, aby magistrat: *„ogłosił marki pana Geyera jako pozbawione publicznej wiary i zobowiązał właściciela do wycofania w kursie zostających"*, aby tym sposobem *„przeciąć drogę do dalszych nadużyć i krzywd, jakie by z tego tytułu mieszkańcy mogli ponieść"*.

Magistrat przesłał odpis tego pisma naczelnika powiatu, do barona Broemsena, ten jednak, jak to można było przewidzieć, nie raczył nawet odpowiedzieć.

Tymczasem bony geyerowskie wpływały na podwyższenie cen chleba, gdyż piekarze otrzymywali za chleb jedynie bony, a mąkę musieli kupować u okolicznych ziemian za gotówkę.

A był to okres kryzysowy, szalonego bezrobocia i nędzy w Łodzi.

Dopiero gdy dostarczono do Królestwa monety zdawkowej na sumę miliona 600 tys. rubli, cesarz rozkazał władzy rządzącej w Królestwie usunąć wszelkie bony z obiegu. 20 maja 1865 roku policmajster w Łodzi zarządził, by w myśl cesarskich postanowień zalecono Geyerowi wycofanie bonów z obiegu.

Ludwik Geyer nie miał jednak pieniędzy, zrozpaczeni mieszkańcy Łodzi z zapasem bonów geyerowskich wędrowali od jego kantoru do magistratu, żądając wypłaty należnych im pieniędzy. Magistrat był bezsilny, a Geyer gdy spostrzegł, że tłumy poszkodowanych przez niego ludzi zaczynają się gromadzić przed jego domem, uciekł z Łodzi.

Sprawa bonów geyerowskich znalazła swój epilog w sądzie zgierskim, a później przeszła do sądu poprawczego w Łęczycy. Proces ciągnął się długo, bo aż do 1875 roku. Ale gdy ogłoszono wyrok, Ludwik Geyer już nie żył. Poszkodowanym mieszkańcom Łodzi nic by jednak z tego nie przyszło, gdyby nawet żył, bo wyrok był uniewinniający.

Gustaw Geyer

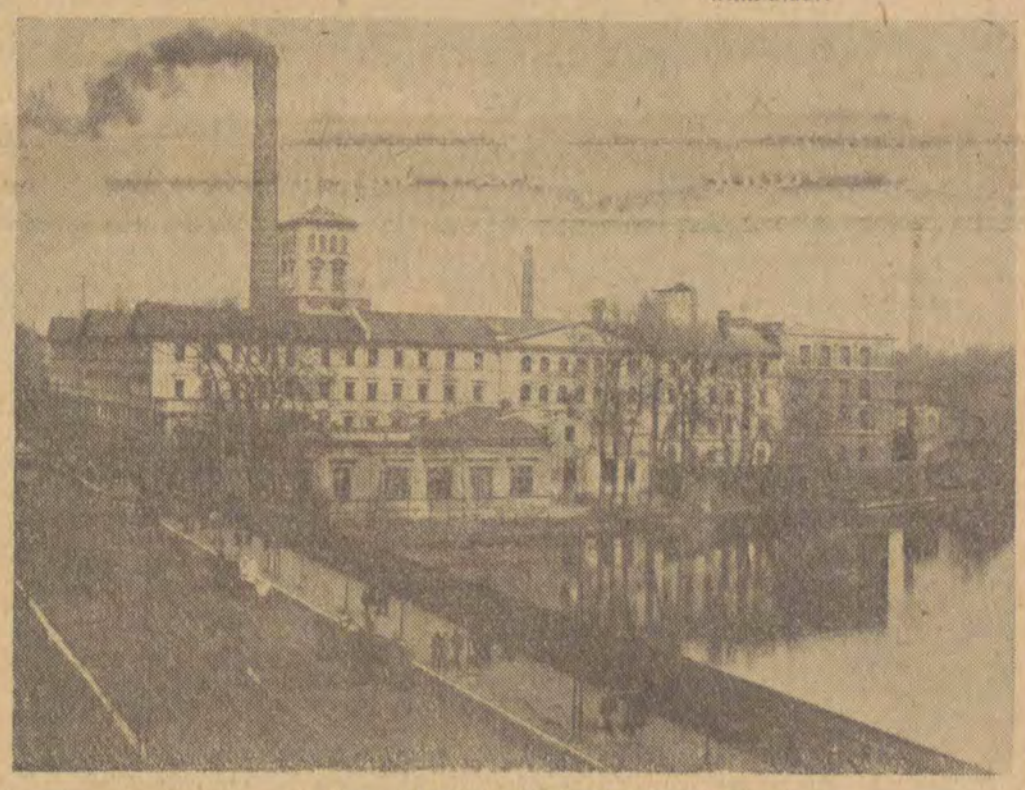

Stara fabryka wybudowana w 1829 r.

Najostrzejsze ołówki świata

KAJAN

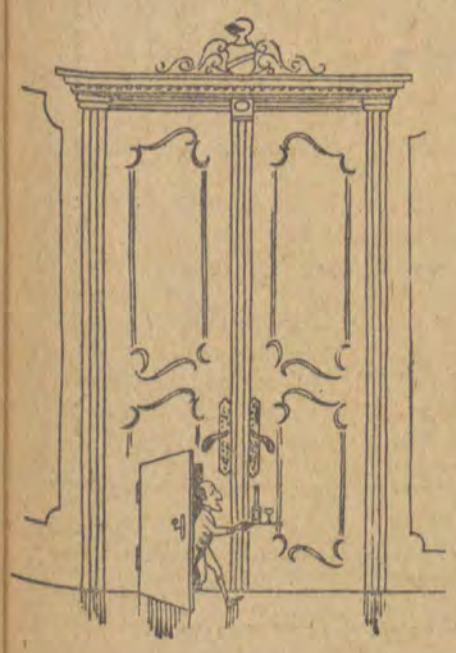

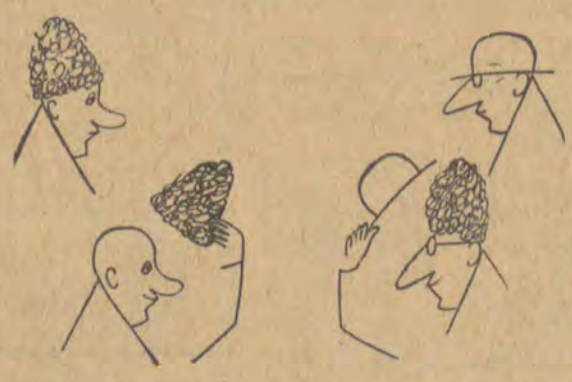

Paradoksalne, że czołowi karykaturzyści węgierscy — jak Kasso (omawiany już w naszej rubryczce), Hegedüs Reber i Kajan — znani są lepiej we Francji i Włoszech, niż w Polsce... Szkoda — bo grupa ta ma niemałe sukcesy właściwie w całej Europie wschodniej, tylko Węgrzy uprawiają konsekwentnie i systematycznie nowoczesne formy żartu. Sprzyja temu od lat czołowy tygodnik satyryczny tego kraju „Ludas Matyi".

Kajan — najmłodszy z wymienionych humorystów — jest rysownikiem najbardziej wyrafinowanym. Uprawia niemal wyłącznie żart bez podpisu. Humor ten — gdzie człowiek staje się tylko partnerem martwego rekwizytu — apeluje bardziej do intelektu, niż emocji. Kajan nie ma zamiaru z niego drwić, ani niczego afirmować; po prostu bawi go niedorzeczność pewnych kontrastowych zestawień. Materiał do swych pomysłów znajduje czasem w przestrzeniach kosmicznych, lub na wyspach bezludnych — ale najczęściej w codzienności, blisko: w mieszkaniu, na ulicy, w teatrze.

Prawdziwe nazwisko Kajana brzmi Tibor Kalasz. Urodził się w 1921 roku, po skończeniu szkoły średniej zaczął pracować jako robotnik. Rysowanie było jego pasją, od dziecka — ale pierwsze prace Kalasza ujrzały światło dzienne dopiero w czasie wojny, były to karykatury antyfaszystowskie, publikowane w formie plakatów i ulotek przez ruch oporu na Węgrzech. Studia plastyczne ukończył Kajan po wojnie — odtąd jego rysunki zdobywają coraz większą popularność. W 1953 r. Tibor Kalasz zdobył nagrodę im. Munkacsy'ego, co definitywnie utwierdziło jego wysoką rangę w karykaturze węgierskiej.

(JERT)

Z NOCNEJ PRÓBY REPORTAŻ Z DYGRESJAMI

Piątek 13, godzina 23 — pierwsza kamerowa próba koncertu rozrywkowego „Dla każdego coś miłego", o którym piszemy na innym miejscu.

W studio tłok. Palić nie wolno, o kawie nie ma oczywiście mowy, a wyciągnięty przez reżysera termos z gorącą herbatą schnie w zastraszającym tempie.

Paulus Raptis

Prawdę mówiąc, nie spodziewałem się, że spotkamy się w tak licznym gronie. Jest nas chyba ze czterdzieści osób: trójka śpiewaków, pięć tancerek, piątka cyrkowców, czterech muzyków, reżyser, scenograf, choreograf, inżynier dźwięku, inspicjent, trzech kamerzystów, trzech pomocników kamerzystów, ze czterech maszynistów, w dodatku ja i pewno piątka studentów PWSTiF, robiących na lewo i prawo zdjęcia.

Wszystko to gada, chodzi, macha rękoma, ma za złe, wciąga fortepian, wyciąga fortepian, rozstawia cyrkowe rekwizyty, zestawia rekwizyty, wnosi zastawki, wynosi, rozbiera stare dekoracje, mówi że nie może rozebrać starych dekoracji, złości się, zapala ukradkiem papierosa, zostaje wyrzucone na korytarz, wraca z korytarza — i tak przez dobrą godzinę, zanim studio jako tako przystraja się na rozpoczęcie próby, a gwar milknie.

DYGRESJA 1: O WYKONAWCACH

Tu mnie dyskretnie na bok odwołują i zaprzysięgając, abym nie nikomu nie powtarzał (naiwny, kto wierzył w moje przysięgi) powiadają, że ci wykonawcy których zaraz na próbie zobaczę, to niezupełnie ci, z którymi podpisano kontrakty. Iks — w ostatniej chwili — powiedział, że nie może, znów Ygrek uznał, że wystąpić nie powinien. Więc oczywiście urwanie głowy i szukanie zastępców...

Podobno takie kłopoty zdarzają się częściej.

Północ — próba się zaczyna. Rzecz, jakby się dobrze zastanowić, nie jest znów taka szalenie skomplikowana — w studio pracują trzy kamery, przy czym poszczególny „numer" z reguły ujmuje się przy pomocy dwóch a trzecia odjeżdża sobie w tym czasie na z góry zaplanowane stanowisko, i ona to pierwsza zacznie ujmować numer następny.

Z tych dwóch, które aktualnie pracują, jedna ujmuje z reguły plan bliski, a druga średni czy zgoła daleki. Np. w żonglerskich popisach Chińczyków jedna kamera obejmowała całą trójkę wykonawców, druga zaś wyławiała szczegóły, jakieś szczególnie efektowne elementy tricków — rzeczą reżysera będzie teraz umiejętnie nałożyć te dwa obrazy na siebie, „wymieszać" je, przeskoczyć z jednego na drugi — w dogodnym i wcześniej już zaznaczonym momencie.

Stąd — oczywiście — im więcej prób, tym większa precyzja spektaklu, tym większa jego potoczystość i zwartość.

DYGRESJA 2: O CHMURKACH

W rzeczonym programie niemal że stałym elementem dekoracyjnym były na przykład chmurki — z bliska prezentujące się jako zwisające na linkach z sufitu nieregularne i postrzępione bryły z jakiegoś sztucznego tworzywa. Chmurki te nie bardzo udały się scenografowi — były przyciężkie i na wizji chwilami przypominały bryły lodu, które tylko patrzeć, jak rąbną w łeb wykonawcę. Efekt był tylko w jednym wypadku — wówczas, gdy reżyser stosował przenikanie i na mocny kontur wykonawcy ujmowanego z jednej kamery, rzucał lekkie poziomo panoramowane chmurki, które jak gdyby płynęły wówczas po niebie. Zdarzało się jednak i odwrotnie — wykonawca był jasny, zacieniony, a chmura płynęła na niego niczym góra lodowa; widomy efekt zbyt małej ilości prób.

Pozy plastyczne — rzecz efektowna, ale czy estetyczna?

Godzina pierwsza w nocy — próba trwa. Reżyser siedzi w studio, patrzy na wykonawców, patrzy na kontrolny ekran, mikrofonem porozumiewa się z „górą", która miksuje obraz i włącza na żądanie wcześniej nagrany dźwięk.

Wygląda to mniej więcej tak:

Reżyser (do mikrofonu): Gotowe?

Głos z góry: Gotowe.

Reżyser: Więc pani stanie tu, potem spokojnie podejdzie i na refrenie ujmie panią kamera. Ustawienie do kamery — trzy czwarte profilu. Ty Wojtek zaczynasz (to do kamerzysty) stąd, a potem wolniutko, wolniutko odjeżdżasz.

I do mikrofonu: — Jedziemy.

DYGRESJA 3: O PIOSENKACH

Nawiasem mówiąc, silną stroną łódzkiej inscenizacji był sposób podania piosenek. Szczególnie odświeżającym zabiegiem wydało mi się ujawnienie play-back'u, czyli prostego faktu, że piosenkarz nagrywa utwór wcześniej, a na koncercie telewizyjnym jedynie markuje śpiew. W jednej z piosenek Wiesława Drojecka rozpoczęła, nie będąc jeszcze na planie, potem — znalazłszy się już w kadrze — „przemilczała" znów jeden z refrenów; wydawało się wówczas, że piosenka dobiega z bardzo daleka, że jest tylko wspomnieniem, prawie echem.

Godzina druga w nocy. Wszyscy są już pomęczeni, herbata wypita, dobrze chociaż, że krany funkcjonują. Proszę jeszcze powtórzyć, jeszcze, jeszcze. Pani stanie tu, nie, lepiej

Elżbieta Bojanowicz. Przy okazji proszę obejrzeć chmurki — na tym zdjęciu wyglądają wcale ładnie

pani stanie tam. Daj dwójkę (to numer kamery), daj jedynkę, nie dwójkę. Cofnij. Jedziemy od początku. Profilem proszę. Cofnąć się proszę. Przecież proszę, żeby się pani nie cofała.

Teraz balet, uff...

DYGRESJA 4: O BALECIE

Zamysł był ambitny — niechby i oszukać odrobinę widza, podkładając pod taniec głos znanej piosenkarki, a tancerce każąc tylko markować. Tylko, że przywieziona z Warszawy tancerka wcale nie umiała markować śpiewu, za to umiała markować taniec, tak że koniec końców zmęczony reżyser machnął ręką i powiedział zmęczonym głosem, żeby dała lepiej spokój.

— Jak mamę kocham — tyle osiągnąć można było i z łódzkimi siłami...

Godzina 3 w nocy. Jestem w domu, w łóżku. W studio jeszcze coś tam nagrywają. O 11 rano pełna próba z telekinem, tylną projekcją i pełnymi dekoracjami, wieczorem koncert.

JERZY PANASEWICZ

P.S. Po namyśle uznałem, że należy bliżej umotywować złośliwość zawartą w ostatniej dygresji. Otóż, jak sądzę, zamiast sprowadzać z Warszawy tancerki nie pierwszej klasy, czy opierać się na paniach Mambo-girls, można wejść w kontakt z Operą i Operetką, po czym wybrać ze sześć osób, które występowałyby w programach rozrywkowych, nadawanych z Łodzi. Nie jest to wprawdzie ten ba-

Wiesława Drojecka — właśnie w piosence z „przemilczanym refrenem"

let, o jaki nam chodziło, ale taniec, a tańce jest zawsze efektowny, tylko trzeba mieć dużo czasu na próby, na sprawdzenie, czy układy są „telewizyjne", na precyzyjne ustalenie ujęć itd. To można robić tylko na miejscu — import gwiazd to rzecz niezła, ale ambitniej i wygodniej poszukać gwiazd czy gwiazdeczek bodaj — na miejscu.

„Dla każdego coś miłego"

W sobotę, 14 bm., studio łódzkie nadało koncert rozrywkowy zatytułowany „Dla każdego coś miłego" w reżyserii **Janusza Rzeszewskiego**, scenografii **Jerzego Masłowskiego** i opracowaniu choreograficznym **Józefa Matuszewskiego.**

Program był utrzymany w duchu variette — trochę tańca, trochę muzyki, trochę piosenki, trochę cyrku. Nie należał do szczególnie odkrywczych — już w samym nawet doborze materiału muzycznego — ale mógł się mimo wszystko podobać i spełniał jakoś zapowiedź zawartą w tytule. Żywe tempo, czysta praca kamer, parę ładnych pomysłów scenograficznych szczególnie jeżeli chodzi o malowane na płask zastawki dla numerów wokalnych — złożyły się na wcale przyjemną całość.

Janusz Tartyłło — proszę zwrócić uwagę na tło; w audycji wyszło bardzo efektownie

Jeżeli chodzi o wykonawców, na czoło niewątpliwie wybijali się wokaliści — piękny, wielki i naprawdę szlachetnie brzmiący głos **Paulusa Raptisa** nie potrzebuje recenzenckich laurek, **Wiesława Drojecka** — głównie dzięki świeżej i precyzyjnej interpretacji — od dawna już, przynajmniej naszym zdaniem, należy do piosenkarskiej czołówki Polski, **Janusz Tartyłło** — mimo wyraźnego braku oswojenia z kamerą — ładnie śpiewał popisową arię z „Kiss me Kate".

Nieco gorzej było z cyrkiem — numery chińskie dłużyły się, a pozy plastyczne chwilami zdawały się być wręcz nieestetyczne, a już najgorzej z baletem, jako że prof. Matuszewski mimo wysiłków, nic ze słabiutkich wykonawczyń wykrzesać nie zdołał.

W charakterze solistki sprowadzono wprawdzie raczej nieznaną szerszemu ogółowi, p. **Elżbietę Bojanowicz** z Warszawy, która bez powodzenia udawała Katherinę Valentine.

(aw)

„Podróż zimowa Szuberta"

W ostatnim czasie studio łódzkie nadało również interesującą audycję słowno-muzyczną pt. „Podróż zimowa Szuberta".

Na zdjęciu odtwórca roli tytułowej: Antoni Majak.

Goście w Łodzi

Ostatnio gościliśmy w Łodzi znaną orkiestrę lipską „Gewandhaus". Zespół wystąpił pod batutą znakomitego dyrygenta niemieckiego, laureata nagrody państwowej NRD — Frantza Konwitschny'ego.

Poza tym gościł w naszym mieście zaproszony przez Łódzkie Towarzystwo Muzyczne znany pisarz i krytyk muzyczny Jerzy Waldorff. Spotkanie z Jerzym Waldorffem ma podobno zainaugurować cykl „Biesiad muzycznych" Łódzkiego Domu Kultury.

W ubiegłym tygodniu spotkał się również z łódzkimi studentami prezes Komitetu do Spraw Radiofonii Włodzimierz Sokorski.

Trzynaście rzędów

Jak wiadomo przed paroma dniami odbywał się w Łodzi sejmik kultury studenckiej. Z tej to okazji zaproszono do Łodzi zespół Teatru „13 rzędów" z Opola. Teatr ten wystąpił w dniach 21 i 22 bm. w sali studenckiego teatru „Cytryna" przy ul. Zachodniej 81.

Zespół przedstawił swoją nową premierę (prapremiera polska) — dramat starożytnego indyjski Kalidasa Śakuntala. Widowisko reżyserował Jerzy Grotowski, na którym łódzcy widzowie spotkali się na dyskusji w Klubie Studenta.

Nowy klub

O nowo otwartym Klubie Kół Naukowych Uniwersytetu niewiele możemy na razie powiedzieć. Działalność swą przecież dopiero rozpoczyna.

Musimy jednak przyznać, że plany i zamierzenia są wcale ambitne i na pewno dobrze się stało, że powstał w Łodzi Klub Studencki o takim właśnie — chciałoby się rzec — naukowym charakterze.

Tych, którzy jeszcze o tym nie wiedzą informujemy: cztery razy w tygodniu przy ul. Jaracza spotkać się można na ciekawej prelekcji, odczycie czy dyskusji. A mądrą inicjatywę Rady Uczelnianej Zrzeszenia Studentów Polskich Uniwersytetu odnotowujemy jako naprawdę dobry pomysł.

Warto obejrzeć

Ostatnio mamy wystaw godnych obejrzenia co niemiara. Przede wszystkim jednak polecamy dwie ciekawe wystawy fotografiki. Pierwsza eksponowana jest w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku Sienkiewicza i nosi tytuł: „Z wędrówek po Ziemi Łódzkiej". Nazwa mówi sama za siebie i nie wątpimy, że łodzianie tłumnie lokal w parku Sienkiewicza odwiedzą.

Drugą wystawą jest nie wielki, ale za to kapitalny zestaw prac studentów Łódzkiej Wyższej Szkoły Filmowej. Ekspozycje obejrzeć można w lokalu wystawowym Polskiego Towarzystwa Fotograficznego przy ul. Andrzeja Struga 2.

TELEwizja

Redaguje Zespół O Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" O Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79 Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.— Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca O Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" O Druk: RSW Prasa" — Łódź, Żwirki 17. O Zam. 188. I. 1961 r. L-12

Dokończenie ze str. 1

SZOPKA ŁÓDZKA

Ryszard Zdroba • Tadeusz Gicgiel

(na melodię: „Nie lij, dyscu, nie lij")

Nie bij, Pański, nie bij,
bo żyć jakoś trzeba.
Nie ciskaj tu gromów,
nie ciskaj tu gromów,
z warszawskiego nieba.

Nie bij, Pański, nie bij,
bo pięść twoja mocna.
Oszczędź moje włosy,
oszczędz moje włosy,
nim wyrwę je do cna.

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER:

Niechaj Orłowski odwiedza Zachody,
ja jadę w góry, bom jest chłopak młody.

CHÓR OBYWATELEK:

Czy ci obrzydło w Łodzi fraszkowanie?
Czemu nas rzucasz, wielki mistrzu, Janie...

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER:

Błagam was, piękne panie,
Nie mówcie do mnie: Ja-nie!
Gdzież skołataną głowę złożę,
Chyba w... żeńskim klasztorze.

KOBIETA I:

Myśmy słyszały jednak, że w arendę
nie klasztor bierzesz, lecz nową „Harendę".

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER:

To nie „Harenda", jak jam nie Kasprowicz.
Kasprowicz do mnie jak do Łodzi Łowicz.
Sypię fraszkami i rymami gadam,
ze mną się równa jedynie mistrz Adam.

KOBIETA II:

Tyle, że muza może nieco lżejsza...

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER:

Lżejsza, lecz chwały mojej to nie zmniejsza.
Dźwignę ją jeszcze, gdy pojadę w Tatry.

KOBIETA I:

A czy ci, mistrzu, nie zaszkodzą wiatry?

JAN IZYDOR SZTAUDYNGER:

Kiedy wiać będą, wejdę za stodołę.
(do siebie:) Jako że lubię różne rzeczy gole.

KONFERANSJER:

Ten na niewieścich serc klawiaturze
gra — i wnet serca miękną,
ów zaś gra pierwsze skrzypce w kulturze,
śpiewając przytem cienko.

NACZELNIK STEFAŃCZYK:

Towarzysze! Jam nawykły,
że ktoś wraża zawsze mi kły.

(śpiewa na melodię: „Marina")

Słuchajcie opowieści o kulturze,
której ja bez wytchnienia od lat służę,
z mych ust nie schodzi uśmiech — czy wierzycie? —
choć wokół rwą ze złości włosy z głów.

Gdy zespół gdzieś źle tańczy — to Stefańczyk,
gdy ktoś źle dzieci mańczy — to Stefańczyk,
gdy brak jest pomarańczy — też Stefańczyk,
ach, z tą kulturą kłopot, mówię wam.

Stefańczyk, Stefańczyk, Stefańczyk,
nie spotkasz działacza jak ja,
Stefańczyk, Stefańczyk, Stefańczyk
wszystkiemu on radę wnet da.

Jeśli nie ucieknie, zgrabnie się wykręci,
Zawsze ma najlepsze chęci.
o tak, tak, tak, tak, tak.

I chociaż na prośby zwykle bywa głuchy,
miewa czasem chwile skruchy —
o tak, tak, tak, tak, tak.

Stefańczyk, Stefańczyk, Stefańczyk,
powiadam wam — dzielny to chwat.
Stefańczyk, Stefańczyk, Stefańczyk
on w Radzie pracuje tak rad.

CHÓR:

Jeśli nie ucieknie, zgrabnie się wykręci
zawsze ma najlepsze chęci,
o tak, tak, tak, tak, tak.

I chociaż na prośby zwykle bywa głuchy,
miewa czasem chwilę skruchy,
o tak, tak, tak, tak, tak.

KONFERANSJER:

Wchodzi poe'a z utworów teczką,
Płacze. (płacze)
Ociera oczy chusteczką.

POETA:

Oto jest chwila! Stosowna pora,
bym skruszył serce ob. dyrektora.

POETA:

(śpiewa na melodię: „Siedem czerwony róż")

Sasza, Sasza,
co dzień mnie twój chłodny wita wzrok,
co dzień powiadasz mi:

(cytuje):

„Podpiszemy umowę za rok..."

Co dzień, co dzień
ja wizytę składam w ŁDK-a,
Sasza, Sasza,
niech cię wzruszy piosnka ta:

Przynoszę tobie mój poetycki płód,
pisany nocą według najnowszej z mód,
pisany krwią serdeczną moją z żył,
żebyś mi za nią zapłacił.

DYREKTOR POSTOŁOW:

(śpiewa na melodię: „Ksiądz mi zakazował...")

KC nakazował,
żebym nie marnował,

papieru,
papieru.

Jacy niebezpieczni
twoi podopieczni,

Chróścielu,
Chróścielu.

KC nakazował
żebym ja szanował

arkusze,
arkusze.

A tu mi Nienacki
pokrzykuje chwacki:

„Cię zmuszę!
Cię zmuszę!"

KC nakazował,
żebym nie marnował

ni ryzy,
ni ryzy,

a ci sen mi płoszą
rękopisów znoszą

walizy,
walizy.

KONFERANSJER:

Oto wkracza postać nowa
rodem ze Stanisławowa.
Mów o tym, mów o owym, Safrin ci opowie,
co zdarzyło się w Stanisławowie.

HORACY SAFRIN:

(śpiewa na melodię: „Od Siewierza jechał wóz")

Od Stanisławowa wóz
raz Herszela ze mną wiózł,
panny stały wystrojone,
bym je sobie wziął za żonę.

Spodobała mi się ta,
co z pieniędzmi papę ma.
Lecz mi Herszel inną rai,
mówi, że już on zagai.

Jam nieśmiały chłopak był,
Więc on za mnie zagaił.
Schwycił pannę za warkoczyk
i jej dał kuksańca w boczek.

Dobra będzie dla cię ta,
bowiem jest rezowata,
ona nigdy cię nie zdradzi,
bardzo dobrze się prowadzi.

KONFERANSJER:

Wchodzi z kolei malarz, w Łodzi nader czynny,
co nie daje spokoju ni sobie, ni innym.

KONSTANTY MACKIEWICZ:

(śpiewa na melodię: „Bartoszu, Bartoszu")

Konstanty, Konstanty, oj nie traćwa nadziei,
Bóg pobłogosławi, widz mój obraz strawi.

Kupi se, kupi se, mój landszaft do sypialni,
aż pozielenieją malarze mniej zdarni.

Bo ludzie, bo ludzie to wtedy są szczęśliwe,
kiedy na obrazie wszystko jest jak żywe.

Oj sprawne, oj sprawne, oj sprawne pędzle nasze,
będziem nimi machać tego jak pałaszem.

Niedługo, niedługo, fakt to jest oczywisty,
poginą te wszystkie przeróżne taszysty.

KONFERANSJER:

Oto jeszcze jedna postać
tu na łamy chce się dostać.

To przedsiębiorca jest jak się patrzy:
ma „Karuzelę" i swój teatrzyk.

REDAKTOR BECK:

(śpiewa na melodię: „Z trzynastu cegieł...")

Pięćdziesiąt krzeseł,
krzeseł pięćdziesiąt
na nich Mojkowski,
Jażdżyński Wiesio,
wybranych gości
nieliczny tłum, — bis
lecz za to jaki
huczek i szum.

Piechal fraszkami
po sali sypie,
a kogo trafi,
ten ledwo zipie,
bo majstersztyki
te fraszki są, — bis
pod ich ciężarem
ludzie się gną.

Słobodnik stoi
w promieniach sławy,
cóż, drodzy moi,
pisarz z Warszawy.
Wczoraj porzucił
Czerwoną Łódź, — bis
sprzykrzyło mu się
już zręby kuć.

A konferansjer
Jasio Koprowski,
liczy przybyłych
jak w domu zgłoski,
w słowo wiążące
wplótł piękny rym. — bis
bowiem w pleceniu
on wiedzie prym.

Pięćdziesiąt krzeseł, —
to śmiechu beka,
krzeseł pięćdziesiąt —
to śmiech u Becka,
a kogo taki
nie bawi śmiech — bis
niech nie przychodzi
tu więcej, niech!

KONFERANSJER:

I tak, proszę państwa, z dołu do góry,
odbył się przegląd łódzkiej kultury.
By już nikomu nie grać na nerwach
ogłaszam przerwę.

Roczna to przerwa.

KONIEC

MARIA KORNATOWSKA

Bez tłumika

O krytykach i recenzentach warszawskich (II)

Nasza krytyka filmowa nie zdołała sobie zdobyć ani zaufania widzów, ani poparcia twórców (o czym świadczą m. in. ich ostatnie wypowiedzi). Wynika z tego, że nie spełnia ona dwóch podstawowych funkcji krytyki: rzetelnego informowania i podnoszenia kultury artystycznej odbiorcy oraz formowania intelektualnego i teoretycznego zaplecza dla samej twórczości.

Gatunkowo dominują w naszej krytyce recenzje. Od czasu do czasu jak rzadkie rodzynki w postnym cieście, pojawiają się artykuliki problemowe lub dyskusyjne (jakieś podsumowanie sezonu, coś o rodzimej produkcji i koniecznie o antyfilmie). Jakościowo — przeważa u nas pusta retoryka, eklektyzm, schematyzm myślenia i inwencji, brak fachowych podstaw, brak założeń metodologicznych i precyzyjnych obiektywnych kryteriów oceny. Krytyka polska stała się domeną subiektywnej impresji i gołosłownych, efekciarskich frazesów. Nietrudno to zobrazować choćby na przykładach zaczerpniętych z twórczości najwybitniejszych koryfeuszy rodzimej krytyki, a cóż dopiero mówić o współpracownikach pomniejszych pism i prasy prowincjonalnej, dla których owi koryfeusze świecą blaskiem stołecznej wielkości.

Wytworzył się u nas pewien klasyczny już schemat recenzji, recenzji traktującej o wszystkim i o niczym, trafiającej nie tyle w film ile obok filmu, w próżnię, w mityczne dzieło istniejące tylko w wyobraźni samego recenzenta. Oto wzór takiego schematiku mitotwórczej recenzji z filmu „Wspólny pokój". Autor — J. Płażewski (Przegl. Kult. nr 8-60 r.) Motto — fragment „Ulicy Sarg" (świadczy o erudycji i intelektualnym drugim dnie autora!) Na wstępie — krótkie oszołomienie czytelnika erudycją historyczną (wymienia się kilka filmów o tej samej tematyce). Potem stwarza się problem filmu — z zasady trudny, odpowiedzialny, odkrywczy. To daje z kolei asumpt do twierdzenia, iż twórca dał sobie wprawdzie radę z problemem, ale niezupełnie (konieczne zwłaszcza przy polskich filmach). Tu miejsce na małą, ale chwalebną potyczkę z innymi kolegami po piórze. Na ogół wybiera się najbanalniejsze i najłatwiejsze do podważania tezy (w tym wypadku tezę Grzeleckiego, że film jest nieaktualny dla dzisiejszego pokolenia). Wreszcie recenzent upojony sukcesem oznajmia zdumionemu czytelnikowi, że znalazł w filmie coś niebywałego — pamflet na pozę (tu dygresja historyczna).

Oczywiście całość nie może obejść się bez kilku uwag dotyczących warsztatu. Przytacza się więc parę scen wyrwanych absolutnie z kontekstu stylistycznego filmu jako przykład udanych rozwiązań reżyserskich (na dowód iż recenzent film rzeczywiście obejrzał). Po wyrażeniu paru marginesowych wątpliwości i zastrzeżeń podsumowuje się wszystko stwierdzeniem *„klarownej i jednoznacznej wymowy filmu"*. A o prawdziwym filmie Hasa ani słowa nie znajdziecie.

Jeszcze gorzej bywa gdy mitotwórczy zapał krytyka idzie w parze z aspiracjami do egzystencjalno-metafizycznej głębi. Dochodzi wówczas do wprost rewelacyjnych odkryć, jakie znajdujemy np. w recenzji tegoż Płażewskiego z filmu „Do widzenia, do jutra!" (Przegl. Kult. nr 19-60). W proroczym objawieniu Płażewski woła, że *„Cybulski nie jest już Kordianem, ale lirycznym Werterem"*. Ów Werter w pewnym momencie wyjaśnia ukochanej: *„Obserwatorium. Rozumiesz? Le soleil, les etoiles, wsio!"* Przeciętny widz odnosi jedynie wrażenie, że nasz rodzimy Werter odznacza się typowo polską znajomością obcych języków, ale dla recenzenta *„to skrótowo zaznaczona mapa sytuacji światopoglądowej Jackowego pokolenia. Ten nasz polski Werter obraca się między Majakowskim a de Saint-Exuperym"*.

W innej znów recenzji tegoż autora (Przegl. Kult. nr 15-60), pozytywny cowboy z Texasu *„zjawia się niby Rycerz Okrągłego Stołu w poszukiwaniu św. Graala"*. W osławionym już artykule Eberhardta, na szczytach Alp *„egzystencja rzeczywiście wyprzedza esencję"* itd., itd. Mądrzec Boy zwykł określać podobne wywody jako podbijanie bębenka. Nie można jednak traktować obojętnie tego zjawiska. Krytyka filmowa, uprawiana w dodatku na łamach poważnych pism literackich i kulturalnych, nie powinna stać się polem dla różnych grafomańskich i pseudointelektualnych popisów spod znaku najgorszego mętniactwa.

Bazą wyjściową rzetelnej krytyki winno być samo dzieło filmowe. Analiza dzieła, analiza jego relacji z autentyczną, sprawdzalną rzeczywistością, z innymi filmami — służy jako podstawa do wydawania ocen i ogólniejszych sądów. Przykładem takiej krytyki jest doskonała recenzja KTT z „Krzyżaków" (Dialog nr 12-60). KTT jako punkt wyjścia przyjmuje samą artystyczną i ideologiczną koncepcję filmu, aby w toku precyzyjnej i wnikliwej analizy treściowej i warsztatowej dzieła dojść do wniosku, że i koncepcja nie była logiczna i, co gorsza, realizacja zawiodła. Najistotniejszym jest fakt, że KTT cały czas tkwi w samym miąższu filmu nie stwarzając sobie mitów do chwalenia lub obalania. Jego argumentacja da się w każdej chwili sprawdzić. Ani jedna teza nie pozostaje bez pokrycia.

Niestety, niektórzy krytycy lubują się w arbitralnym i apriorycznym formułowaniu pewnych twierdzeń, które nieszczęsny czytelnik przyjmować musi jako aksjomaty, ponieważ nie znajduje dla nich żadnych logicznych przesłanek i argumentów ani w samej recenzji, ani co gorsza w rzeczywistości ekranowej. Przy okazji wychodzi na jaw, że pogoń za łatwym efekciarstwem charakteryzuje nie tylko naszych twórców ale i koryfeuszy krytyki. Oto para przykładów tego typu aksjomatów: *„film nasycony autentyczną atmosferą pokolenia"*, *„Morgenstern sporo ma do zakomunikowania o miłości"*, *„Miłość 1960 r. nie jest uwarunkowana popularnymi snobizmami. To miłość romantyczna"*. (Wszystkie te głębokie spostrzeżenia pochodzą z cytowanej już recenzji z „Do widzenia, do jutra"). *„Element atrakcji widowiskowej stoi na drugim miejscu i jest podporządkowany obrazowi wielkiego konfliktu historycznego"*. (rec. z „Krzyżaków" Płażewski, Przegl. Kult. nr 36-60).

Gdy fakty przeczą naszym twierdzeniom, tym gorzej dla faktów. Po co pisać o autentycznych filmach, o wiele łatwiej, jest bić się z wiatrakami istniejącymi tylko we własnej wyobraźni. A skoro krytyk już zupełnie nie ma pojęcia o czym napisać, radzi sobie mniej więcej w ten sposób: *„Ograne sytuacje niemożliwe na pozór do przedstawienia nabierają w realizacji zadziwiającej gęstości, intensywności, rosnącego powoli dramatyzmu"*. (B. Michałek — Nowa Kult. nr 34-60). Wracamy więc w krainę pustych frazesów, błyskotliwej sofistyki, która często prowadzi do intelektualnego hochsztaplerstwa.

Jedną z głównych przyczyn takiego stanu rzeczy jest brak określonej koncepcji sztuki filmowej, brak podbudowy teoretycznej pozwalającej krytykowi znaleźć obiektywne i precyzyjne kryteria oceny. Krytyk, wbrew pozorom, nie ma nic wspólnego z narodowym wieszczeniem. Musi biegle opanować własne rzemiosło i rzemiosło filmowego tworzenia. Musi mieć „wrażliwość" filmową ale także i jasne założenia metodologiczne oparte na bazie filozoficzno-estetycznej. Bez tego nie sposób mówić o poważnej krytyce filmowej, o krytyce sprawdzalnej, obiektywnej, naukowej.

Jednym z nielicznych krytyków posiadających pewną koncepcję sztuki filmowej a w związku z tym i określone kryteria oceny poszczególnych jej dzieł jest niewątpliwie B. Michałek.

Bezradność jednak naszej krytyki z jednej strony, pogoń za oryginalnością sądów z drugiej, prowadzi często do szukania źródeł inspiracji u bardziej doświadczonych i pomysłowych kolegów zagranicznych. Tak jest właściwie u B. Michałka. A. Bazin w szkicu „Le cinema et lexploration" oraz w króciutkiej recenzyjce z „Imperium słońca" i „Zagubionego horyzontu" (Qu'est ce que c'est cinema t. I Ontologie et langage) przeciwstawia te ostatnie filmy, fałszujące jego zdaniem rzeczywistość, wykorzystujące piękno zdjęć i barw dla malowniczego a nieprawdziwego widowiska — postawie autentycznych dokumentalistów *„uczciwych i pełnych szacunku dla tajemnic człowieka i świata"*. Przykładem takiej postawy zdaniem Bazina, jest m. in. film zrealizowany przez uczestników wyprawy na Kon-Tiki.

„Te obrazy zamazane i drżące — pisze Bazin — *są jak obiektywna pamięć aktorów dramatu... Kamera praktycznie utożsamia się z przypadkowym operatorem skulonym na skraju tratwy... W momentach ważnych wydarzeń załoga miała na głowie ważniejsze sprawy niż kręcenie filmu... Kiedy wieloryb rzuca się na tratwę — obraz jest tak krótki, że trzeba go było 10-krotnie powiększać by stał się dostrzegalny... Ten wieloryb... interesuje nas przede wszystkim dlatego, że obraz został nakręcony w chwili gdy kaprys potwora mógł zniszczyć tratwę i posłać kamerę wraz z operatorem na dno morza"*. Tyle Bazin.

B. Michałka „Kąpiel w oceanie" (Nowa Kult. nr 13-60) powtarza w istocie zasadniczą tezę przyświecającą wywodom Bazina. I dziwnym trafem autor również powołuje się na przykład z Kon-Tiki! *„Obraz Kon-Tiki drży, jest miejscami zamazany, film fatalnie zmontowany ale wstrząsający. Kiedy pojawia się w oddali wieloryb mogący jednym ruchem roztrzaskać tratwę, ujęcie nagle urywa się. Przypadkowy operator musiał odrzucić kamerę i przystąpić do walki"*. I w innym miejscu, tym filmowcom, którzy *„przyjęli postawę świadków pełnych szacunku wobec rzeczywistości"* (twórcy „Świata milczenia") Michałek przeciwstawia „Imperium słońca" i „Zagubiony horyzont" — pełne wspaniałych zdjęć, wyrafinowanych kompozycji, niesłychanie malowniczych, a w gruncie rzeczy nieprawdziwych, robionych nie po to; by odkryć nieznaną rzeczywistość... itd."

Ta dziwna zbieżność poglądów nie jest, jak sądzę, grzechem. Warto by jednak, dla spokoju recenzyjnego sumienia, podać, że ktoś już kiedyś wyrażał podobne opinie. A może Michałek nie czytał nigdy Bazina?

Na zakończenie pragnę dodać, że zebrane przykłady nie godzą w wymienionych tu krytyków, ale w zjawiska o charakterze ogólnym, zjawiska typowe niestety dla naszej krytyki. Podałam je ku rozwadze zarówno autorów jak i P. T. publiczności.

OBA ZDJĘCIA BARBARY KWIATKOWSKIEJ, PUBLIKOWANE NA TEJ KOLUMNIE PO RAZ PIERWSZY — WYKONAŁ W RZYMIE A. KONDRATIUK. W CZASIE REALIZACJI FILMU „JAK SŁODKIE JEST ŻYCIE" (REŻ. RENE CLEMENT) — BASIA W TYM FILMIE GRA GŁÓWNĄ ROLĘ KOBIECĄ. *Fot. A. Kondratiuk*

„Historia współczesna"

Mogła się ona zdarzyć wczoraj lub dziś, gdziekolwiek. Nie brak u nas w kraju ludzi głupich, jeszcze więcej mamy lekkomyślnych. Wanda Jakubowska wraz z Jerzym Stefanem Stawińskim zrealizowali film — ostrzeżenie, bez wątpienia bardzo potrzebny, i jak się potocznie mówi — „na czasie". Ukazuje on część społeczności jednego z miast śląskich, która na skutek najpierw niedbałości, a potem głupoty i chciwości staje oko w oko z wielkim niebezpieczeństwem. Przy tego typu filmach chyba mniej ważniejsza jest efektowna forma, a całą uwagę skupić trzeba na doborze środków potęgujących sugestywność obrazu.

Wydaje mi się, że Jakubowska, charakteryzując postacie dosyć powierzchownie — obrała słuszną drogę. Nie chodzi przecież o analizę psychologiczną, lecz o znajomość postaw. Z króciutkich scen wiemy na przykład że Bielas jest dobrym mężem i sumiennym pracownikiem, a jego żona źle się czuje w swym obecnym otoczeniu, wiemy też jakiego rodzaju mentalność reprezentuje Wiśniewski, „spiritus movens" całego dramatu. Poznajemy tych wszystkich ludzi w stopniu dostatecznym aby wyrobić sobie do nich jakiś stosunek. To bardzo dużo. Wszyscy oni są jakby złączeni wspólnym losem, wspólnym nieszczęściem, Ich przeciwstawieniem są ludzie podejmujący walkę o ratowanie ich życia, — milicjanci, lekarze, krwiodawcy.

Publicystyka na ekranie jest rzeczą trudną — łatwo o wpadnięcie na mieliznę gadulstwa, przerysowanie postaci. „Historia współczesna" nie jest wypracowaniem na zadany temat, gdyż realizatorzy najwyraźniej przejęli się tematem, pokusili się o nadanie mu takego artystycznego kształtu, który by wycinek życia pokazywał jak najpełniej, jak najprawdziwiej. Nie ma tu pogoni za wyszukanymi ujęciami, za efektami czy trickami, ale jest rzetelna relacja o wypadku, który się wydarzył, o jego konsekwencjach. I ona porusza widza, wciąga go, nie pozwala pozostać obojętnym. Nowy film Jakubowskiej to chyba dobra robota filmowa i udana próba zajęcia się problemem o dużej wadze społecznej.

HENRYK WALENDA

DO TEMATYKI OBOZOWEJ powraca Wanda Jakubowska, twórczyni „Ostatniego etapu". Już niebawem rozpocznie ona realizację filmu wg. nowej książki Seweryny Szmaglewskiej pt. „Zapowiada się piękny dzień", która opowiada o wyprowadzeniu więźniarek Oświęcimia pod koniec wojny.

„MARSJANIN W PARYŻU" — to tytuł nowej komedii, która odniosła wielki sukces w stolicy Francji. Tytułową rolę gra Darry Cowl — znakomity aktor komediowy, niestety — bardzo mało znaczny w naszym kraju („Praczki z Portugalii", kapitalny epizod reżysera filmowego w filmie Sachy Guitry „Takich dwóch jak nas trzech").

BRIGITTE BARDOT zobaczymy jeszcze w bieżącym sezonie na naszych ekranach w sławnym już filmie „Babette idzie na wojnę". Barwna i szerokoekranowa komedia Christian Jacqua odnosi obecnie wielkie sukcesy w Związku Radzieckim.

ZNANI DOKUMENTARZYŚCI — reżyserzy Hoffman i Skórzewski projektują realizację „składanki" komediowej, fabularnej. Jedna z nowel ukazać ma perypetje skromnego laboranta, który przypadkiem wyjął w restauracji z kieszeni alkoholomierz — i w chwilę potem zupełnie niechcący zarobił tysiąc złotych od przerażonego kierownika lokalu... Zdarzenie podobno autentyczne — ów laborant zaczął nieźle zarabiać...

W OSTATNICH TYGODNIACH ukończono realizację aż czterech nowych polskich filmów: „Mąż swojej żony" — reż. St. Bareja, wg. komedii Jerzego Jurandota, „Nafta" — reż. Stanisław Lenartowicz „Rozstania" — reż. Wojciech Has, oraz „Ludzie z pociągu" — reż. Kazimierz Kutz. W chwili obecnej aż 9 gotowych filmów oczekuje w kolejce na premierę!

DONALD